



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimierz Moczydłowski

Rozbity dom

Decyzja o przeprowadzce z Warszawy na wieś została podjęta w rodzinie wczesną wiosną 1939 roku. Czekaliśmy niecierpliwie do zakończenia roku szkolnego, które to wydarzenie determinowało nasz wyjazd do nowego miejsca zamieszkania. Szykowaliśmy się do tego wyjazdu od kilku tygodni, ale finał miał być dopiero w końcu czerwca. Ojciec przebywał na wsi i budował, bo przecież rodzina po przyjeździe potrzebowała mieć dach nad głową. Byliśmy więc w Warszawie tylko z matką i czekaliśmy na otrzymanie cenzurek w swojej szkole.

Przed datą wyjazdu, ustaloną na dzień 4 lipca, wuj dostarczył do nas wujenkę i było wszystko przygotowane do drogi. Wyruszyliśmy pociągiem do celu. Dwie godziny jazdy przeleciały piorunem i trzeba było wysiadać, bo ogłoszono: Mława! Potem jeszcze pół godziny jazdy samochodem i byliśmy w Zielonej. Gdy dojechaliśmy do wsi, to musieliśmy odbić w lewo i drogą gruntową jechaliśmy jeszcze trochę więcej jak kilometr do naszego gospodarstwa. Na podwórku poniewierały się wszędzie całe stopy wiórów z budowy i spod hebla pana Kłosa, który po postawieniu budynku mieszkalnego wyrabiał teraz otwory okienne i drzwi heblując i pasując do siebie poszczególne elementy. Wokoło podwórka rosło dojrzewające żyto. Niedługo już żniwa, a nasze całe pole obsiane było żytem – całe dwanaście i pół hektara. Będzie co kosić i zwozić. Niebawem samochód został rozładowany i zaczęliśmy się przyzwyczajać do nowego miejsca. Zaczęły się też i obowiązki. Do podstawowych już od pierwszego dnia należało podkładanie wiórów do ognia, bo leżały ich całe stopy wokoło i trzeba było je wykorzystać jako opał.

Cieszyliśmy się z naszej kobyłki kasztanki, która chodziła w zaprzęgu jak rakietka. Trzeba było dobrze ją trzymać w lejcach, bo rwała się do biegu na złamanie karku. Kasztanka miała swoje miejsce w prowizorycznej stajni zlokalizowanej w jednym z sąsiedków w nowej stodole. Wóz był również ładny, pomalowany na niebiesko.

Matka też chciała mieć swoje gospodarstwo – kupiła parę kur i zaczęła gospodarzyć. Nasadziła nawet kwokę na jaja i po trzech tygodniach doczekała się dziewięciu kurczaków.

W nowym domu wuj ze swoją rodziną zajęli jedną izbę, w której była wybudowana także murowana kuchnia. My mieliśmy dwie izby. W jednej z nich też była kuchnia murowana. W sieni natomiast była mała dwufajerkowa kuchenka i piec do pieczenia chleba.

Dni mijały i ludzie coraz częściej wspominali o wojnie. My – dzieciarnia nie przejmowaliśmy się tym wszystkim. Patriotyzm cechował wtedy wszystkich i nie dopuszczano nawet myśli o tym, żeby Polsce groziło coś naprawdę niebezpiecznego. Mieliśmy codziennie bardzo dużo pracy i nie rozważało

się tych wszystkich spraw w rodzinie. Nie zapomnę tylko opinii mojego ojca, której tak naprawdę wtedy nie rozumiałem. Powiedział to i powtarzał nieraz – „Hitler zginie, ale wstrząs świata zrobi”.

Pewnego wieczora przyjechała do nas Ciocia Marysia. Jak sobie przypominam to nawet nie awizowała swojego przyjazdu. Były jakieś przyczyny, dla których nastąpił ten nagły przyjazd. Wiem, że prowadziła rozmowy z rodzicami i z wujem – oczywiście bez udziału dzieciaków. Mieli jakieś ugodnienia – jak to między dorosłymi. My się tylko ucieszyliśmy z jej przyjazdu, bo lubiliśmy ją najbardziej ze wszystkich ciotek. Zawsze była taka pogodna, dobra i cierpliwa dla nas. Ona jednak zaraz po przyjeździe oświadczyła, że ma bardzo mało czasu i musi wyjechać następnego dnia. Była to sobota i rozmowy toczyły się długo w nocy. Wyczuliśmy, że są to jakieś niewesołe sprawy...

Piątek 1 września 1939 roku był przyjemny, ciepły i pogodny. Nie wiem w jaki sposób dotarła do nas wiadomość, że wybuchła wojna i że Niemcy zaatakowały nasz kraj. Tego właśnie dnia zaroilo się w powietrzu od samolotów, a głośnie ich huczenie nappełniało trwogą. Leciały kluczami na naszą Warszawę. Wracaly z powrotem po nowe ładunki wybuchowe. Były wielkie, a na kadłubach i skrzydłach miały czarne krzyże. Ten ich huk był taki falujący – gdy leciało ich kilka, to tak dziwnie modulowały się ich głosy, falowały rozległe amplitudy, głucho, ciężko i zmiennie.

Zaczęły się zapelniać drogi na kierunku północ – południe, wiele furmanek ruszyło kolumnami byle dalej od frontu. Na furmankach podstawowe sprzęty i pościel oraz małe dzieci, kobiety i starszki. Tereny przygraniczne objęły walki i ludność opuszczała je w pośpiechu, bo do ewakuacji już dawno była przygotowana. My mieszkaliśmy nieco dalej, bo około 50 kilometrów od granicy, więc nie byliśmy bezpośrednio zagrożeni, toteż w naszym obojętciu rozlokowało się wkrótce kilka wozów przybyłych z Pomorza. Kręciliśmy się w tym gronie i słuchaliśmy zatrzwożonych wypowiedzi.

Tego dnia z samego rana ojciec pognął do Kuczborka – tak przez pola na przełaj, bo było bliżej – aby wycofać trochę grosza z kasy PKO. Nie zabawił tam długo. Wrócił wprawdzie bez gotówki, ale za to z dobrymi wiadomościami. Słyszałem jak przekazywał matce te wiadomości, że już ponad sto samolotów niemieckich zostało strąconych i że polskie wojska weszły do Prus Wschodnich. A co do pieniędzy to na razie dostał tylko sto złotych, bo kasa miała sporo wypłat, a nie mieli dużo gotówki. Jednak pomimo częściowej prawdy, bo w pewnym miejscu Polakom udało się pogonić Niemców w Prusach Wschodnich, to wszystko inne było marzeniem. Samoloty niemieckie całymi chmurami szybowaly nad nami w stronę Warszawy, napelniając przestrzeń hukiem i grozą. Nie było za to widać działających ze strony naszej obrony przeciwlotniczej. Ojciec dopiero teraz zmartwił się, że został prawie bez pieniędzy, a miał wiele wydatków bieżących.

Od pierwszego dnia tej wojny było u nas na podwórku ciągle kilka furmanek z uciekinierami. Na polu – teraz pustym – chodziło sporo różnego bydła. Pasło się więc bydło uciekinierów oraz miejscowe. Nie bardzo nawet już przestrzegana była zasada wypasu na swoim. Ostatnio zaczęło ludzi przybywać, było dosyć ciasno. Wkoło budynku, w stodole i na podwórku pełno było ludzi, a także psów. Słuchaliśmy niekończących się fałszywych opowiadań o zbombardowaniu Berlina przez Anglików i Francuzów, którzy wypowiedzieli Niemcom wojnę i gromią ich ze swojej strony. Z naiwną wiarą przyjmowaliśmy do wiadomości, jak wielka liczba samolotów niemieckich została już strącona. Wszystko to w pierwszych dniach pocieszało i pozwalało nie załamywać się tym, którzy zostawiwszy cały swój dobytek, zabrawszy tylko pościel, rodzinę i trochę rzeczy najpotrzebniejszych na wóz, opuścili swoje gospodarstwa. Docierały jednak do nas i złe wieści, że niemieccy lotnicy atakują kolumny uciekinierów, pojazdy czerwonego krzyża, bydło pędzone drogami i tym podobne okropności. Opowiadali naoczni świadkowie tych okropności mówiąc, że nie ma gdzie uciekać, bo na drogach tłok. Zaczęto rozpaczać – szczególnie matki z małymi dziećmi.

Pamiętam, jak zorganizowano coś jakby naradę. Była noc, ale podwórko roilo się od ludzi. Kuchnie nasze pracowały pełną parą, gotowano i przygrzewano na zmianę, napięcie było wielkie. Pan Czesław Lorkowski z Zielonej, mający we wsi sklep ogólny i małą rzeźnię, powiedział tak: „Nie ma sensu uciekać, bo dokąd uciekniemy? Jeśli przyjdą tutaj – to pójdą i dalej”. Natychmiast podchwyciła to matka i powiedziała zdecydowanie – „Trudno – myślę, że nie trzeba się stąd ruszać i rację ma pan Lorkowski, bo gdzie pójdziemy?” Te głosy spowodowały jakąś ulgę, bo więcej było takich, którzy myśleli podobnie. Nie było takich, którzy by sprzeciwiali się takiemu rozumowaniu, zresztą nikt nikogo nie zmuszał ani nie namawiał do czegokolwiek. Każdy mógł zrobić to, co uważał za stosowne. Po jakimś czasie, gdy wrzenie ostygło, zaczęły się odzywać głosy akceptujące stanowisko, że nigdzie się stąd nie ruszamy. Czekamy do skutku.

Po paru dniach zastoju na drogach zaczęły pojawiać się pojedyncze furmanki ciągnące z powrotem na swoje. Zaczęto ponownie opowiadać o okropnościach, które działy się na drogach. Samoloty niemieckie kosiły seriami karabinów maszynowych kolumny uciekinierów. To nie była walka tylko mordowanie nieszczęśliwych ludzi zdanych na łaskę i niełaskę uzbrojonych bandytów, świadomie uśmiercających wszystko co się ruszało na polskich drogach. Bezradność ludzka wobec tych działań i rozpacz były wielkie.

Ludzie miejscowi zaczęli prace na polach. Trzeba było się śpieszyć z orkami, bo powinny już być gotowe do siewów. Niezależnie od wszystkiego ziemia musi rodzić, inaczej chłop nie wyżywi rodziny i gospodarstwa.

W Którąś sobotę po południu, najprawdopodobniej 16-go września, gdy zajmowaliśmy się w najlepsze naszymi sprawami, ktoś zakrzyknął: „Niemcy jadą!” Rzeczywiście, z podwórka pana Szelugi, gdzie wtedy byliśmy, widać było szosę, którą jechali żołnierze niemieccy rowerami w kolumnie. Z daleka widniały ich mundury znacznie bardziej zielone od mundurów polskich. „A zatem to tak wyglądają Niemcy?!” – pomyślałem. Patrzyliśmy na nich z odległości około pięciuset metrów. Jechali w kierunku Kuczborka i Mławy. Patrzyliśmy na nich bez uczucia strachu. Zakończyliśmy naszą robotę, ojciec załadował śrutę i sieczkę na wóz, zaprzągnął kobyłkę i w drogę do domu za górkę. W domu matka powiedziała nam, że byli tu Niemcy i prosili o przygotowanie spania dla dwudziestu żołnierzy. Ma to być w stodole na klepisku, tylko potrzebna jest słoma. Mają przyjechać dzisiaj, a więc trzeba się śpieszyć.

Jeszcze przed zachodem słońca zjawili się dwudziestu żołnierzy na rowerach i rozłożyli się w naszym gospodarstwie. Zakwaterowali się na swoich miejscach w stodole. Wtedy z bliska oglądaliśmy tych Niemców. Następnego dnia rano z niedowierzaniem przyglądaliśmy się co jedzą na śniadanie, bo jeszcze niedawno w gazecie czytałem, że cierpią głód, nie mają tłuszczów, ani mleka, a tu widzę chleb, różne konserwy mięsne i wędliny. Trudno było uwierzyć własnym oczom. Po śniadaniu żołnierze odjechali i już więcej się u nas nie pojawili.

Jesienią zaczęło się coś dziać w administracji i było widać od czasu do czasu jakichś Niemców we wsi. Wracali jeszcze z wojny niektórzy z naszych sąsiadów, powołani w czasie mobilizacji. Byli to ci, którym udało się w jakiś sposób uniknąć stalagów i przeszwarzowali się jakoś po cywilnemu w swoje strony i do domów. „Bezkrólewie” trwało jednak krótko i po paru tygodniach Niemcy na dobre zaczęli się szwendać po polskich drogach i obejmować urzędy gminne, posterunki policji i inne. Posterunki zajęli żandarmi w wysokich czapach. Wprowadzona została administracja niemiecka.

Polaków nie prześladowano jeszcze masowo, bo najpierw zajęto się Żydami. W Żurominie, gdzie zamieszkiwało wielu Żydów ogłoszono, że będą wysiedleni, ale gdy się okupią to zostawi się ich w spokoju. W tej sytuacji starszyzna zorganizowała zbiórkę na okup i zrealizowała żądanie Niemców. Jakiś czas dano im spokój, ale niedługo zażądali dodatkowego haraczu, który także został zebrany przez starszyznę i dostarczony okupantom. Widać było, że Niemcy wyduszają co można, a i tak nieuchronnie realizować będą swoje plany. W następnej kolejności zaczęli organizować getto. Była to kolejna okazja do wyduszenia haraczu. To wszystko spowodowało, że ludność żydowska została ograbiona doszczętnie ze wszystkich swoich majątkości, oczywiście przede wszystkim z pieniędzy i kosztowności.

Jesień okazała się dla mnie osobiście bardzo przykra. Przeziębilem się i dostałem jakichś wrzodzień. Najgorsze jednak było to, że pod brodą w okolicy obojczyka powstała jakaś krostka, która mimo różnych zabiegów matki stale rosła, osiągając wielkość połowy pomidora. Nie było mowy o spaniu i bardzo cierpiałem. Wniosek prosty – trzeba jechać do lekarza do Żuromina. Była to ostatnia deska ratunku. Gdy doktor zobaczył mnie, powiedział krótko – „trzeba ciąć”. Skóra na mnie cierpiała, jakieś dreszcze zaczęły mnie brać, ale ten wrzód tak mi już dopiekl, że chciałem jak najprędzej mieć już to wszystko za sobą. Dostałem znieczulenie i za chwilę było po wszystkim.

Późną jesienią nieoczekiwanie dla wszystkich nadszedł list od babci z Goślina. Pierwsza korespondencja jaka dotarła do nas po przejściu nawały wojennej. To świadczyło, że zaczęła funkcjonować łączność i nawet z miejscowości spoza terenów włączonych do Rzeszy mogły dochodzić przesyłki pocztowe. A zatem jakiś kontakt z rodziną w Warszawie będzie możliwy. Dotychczas nic nie wiedzieliśmy, co dzieje się ze wszystkimi pozostałymi poza granicą przebiegającą gdzieś na linii Pomiechówka. List pisany był nie przez samą babcię, a kogoś wykształconego, co można było wywnioskować od razu ze stylu i składu zdań. Jak sobie przypominam był taki bardziej suchy i urzędowy. Korespondencja z babcią zakończyła się na tym jednym liście i nie mieliśmy do końca wojny żadnych wieści od niej ani żadnych kontaktów. Dopiero wiele lat później, już po wojnie, dowiedziałem się o śmierci dziadka, a także o aresztowaniu i zamordowaniu przez Niemców w Palmirach wuja Krawczyka.

Nadeszły jakieś ciemne, pochmurne dni i trwały przez pewien okres. Matka mówiła, że jest adwent, czyli taki postny miesiąc przed świętami Bożego Narodzenia. Chodziliśmy do Kłosów, bo pani Kłosowa zachorowała na tyfus i trzeba było pomóc jej córkom w umyciu i pielęgnacji chorej. Moja matka nie była strachliwą kobietą i w razie jakiegokolwiek choroby zawsze pomagała znajomym.

Niemcy panoszyli się wszędzie. Po okolicznych wsiach nie było już nigdzie ludności żydowskiej, bo wszystkich przeniesiono do Żuromina. Teraz zaczęto werbować Polaków na roboty – na razie dobrowolnie.

Nasz sąsiad – Adamczyk zapadł na zdrowiu i już od dłuższego czasu chorował i to poważnie. Nieraz tam bywaliśmy i widziałem jaki zrobił się chudy. Gdy był już w takim stanie, że nie było chyba nadziei na wyzdrowienie to pamiętam, że ojciec przywoził mu do domu księdza z naszej parafii w Zielonej. Niedługo potem zmarł. Widziałem go w trumnie tylko w skarpetkach – nie miał nawet pantofli na

pogrzeb. Te szare skarpetki widzę do dziś przed oczyma. Sprawy związane z pogrzebem załatwiał ojciec. Po Adamczyku została wdowa z piątką dzieci.

Święta Bożego Narodzenia nie były podobne do żadnych świąt, jakie przeżywaliśmy w latach poprzednich. Myślało się o choince, ale zostało się tylko z tymi myślami. Nie było mowy o dostaniu się do lasu. Wszędzie było daleko i niebezpiecznie. Próbowałem coś – jakąś namiastkę choinki zorganizować i połaziwszy trochę po pustych, zmarzniętych łąkach i krzakach jałowców wyciąłem takiego jednego, który moim zdaniem mógłby zastąpić drzewko świąteczne. Zadowolony z siebie przyniosłem do domu, a tu zamiast pochwały to wysmiano mnie mówiąc, że jałowiec to nie choinka i koniec. Oczywiście nie było też żadnych słodczy, a nawet i ciasta, bo nie mieliśmy pszennej mąki. O szynce wędzonej mogliśmy sobie pomarzyć.

Kiedyś po Nowym Roku znów doręczono nam list z Warszawy, tym razem od Wacka, stryjecznego brata, u którego mieszkała nasza siostra Lodzia. Waclaw zapowiedział swój przyjazd do nas i nawet ustalił datę, chociaż był to przyjazd nielegalny. Wtedy nie było jeszcze tak uszczelnionej granicy. Ojciec wziął przepustkę od sołtysa w gminie, następnie pożyczył sanie od pana Szelugi i pojechał po niego do Mławy. Śniegi były wtedy bardzo duże i do nas na podwórko trzeba było wjeżdżać od strony pola, bo od drogi nie pozwalały zasy. Po przyjeździe Wacek powiedział, że Lodzia zamieszkuje cały czas u niego. Później dowiedzieliśmy się jak było tam w czasie działań wojennych, jak przetrwali naloty. Opowiedział o tych, którzy zginęli w czasie obrony Warszawy. Matka starała się go czymś lepszym poczęstować, ale nawet nie było czym. Pamiętam, że my jedliśmy zupę z żytnich zacierek z ziemniakami na rzadko, a jemu zrobiła takich zacierek żytnich na sucho ze słoninką. Jak to zobaczył, poprosił żeby matka dała mu to samo co nam. Stwierdził, że lubi taką zupę. Tymczasem zupa ta, zwana „zagaj”, była synonimem biedy. Jak chciano się pośmiać z jakiegoś chłopaka, to wyszydzano go mówiąc, że „on to tylko zagraj żre”. Tego typu dokuczliwości robili biedni biednym. Bo tak naprawdę to w tym czasie wszędzie na śniadanie bywał właśnie ten zagraj, a różnice były w tym, że jedni mieli do niego chleb a inni nie mieli i jedli rzadkie. Chleb u nas w tym czasie jednak bywał. Wprawdzie tylko razowy, a później kwaśny i suchy. Pieczywo z naszego wypieku starczało na dwa tygodnie. Kluski były też wyłącznie z mąki żytniej pytlowej. Nie miały one ani smaku ani nie wyglądały zjadliwie. Oczywiście dzieciaki zawsze krzywiły się, ale nie chodziliśmy jeszcze wtedy głodni.

Przeleciały dwa czy trzy dni i ojciec pożyczonymi sankami odwiózł Waclawa do Mławy do pociągu. Przez cały okres okupacji już nie mieliśmy żadnego bezpośredniego kontaktu, poza korespondencją – taką sporadyczną.

Rok 1940 był bardzo ciężki. Zima piekielnie dokuczliwa zaczęła się tak naprawdę dopiero w styczniu, po odjeździe Waclawa. Siedziało się w domu i chuchało w szyby. Ale nasza zwierzyzna cierpiała nawet bardziej od nas. Pamiętam jak ojciec przykrywał kasztankę i krowę derkami. Zaczęły się jakieś nietypowe pochody z Kosewa do Zielonej. Podobno epidemia tyfusu nawiedziła tą wieś do tego stopnia, że co parę dni wlekli się ludzie z trumną na cmentarz do Zielonej.

Kiedyś z rana zaskoczyło nas wydarzenie bez precedensu. Zapanował strach i nie wiedzieliśmy co się dzieje. Było to w niedzielę rano, kiedy doszły do nas jakieś hałasy z drogi. Było już widno, ale panowała niesamowita mgła. Drogą parły dworskie wozy zaprzężone każdy w cztery konie, a na wozach widać było ludzi. To „fornalki” dworskie wiozły jakichś ludzi poowijanych w kolorowe chustki i szaliki. Z powodu mgły widoczność nie była za dobra, a poza tym nie chciało się budzić licha i zbyt ostentacyjnie wychylać się i podglądać. Nie wiedzieliśmy co się może dziać. Powstał popłoch – na pewno wysiedlają. O jadących nie wiedzieliśmy – mężczyźni czy kobiety – bo wszystko na kolorowo. W domu rozpacz. Co to będzie, teraz nas wykończą! Znów minęło kilka minut, ale nikt nas nie niepokoje. Co to może być? Wreszcie ojciec wyszedł na dwór i starał się coś wywęszyć. Znów ktoś przejechał i zrobiła się cisza. Po jakimś czasie mgła opadła i pojawił się obraz okolicy. Dopiero wtedy dopatrzono się, że odbywa się polowanie z nagonką. Ci ludzie na wozach to naganiacze, a byli tak poowijani, bo zabezpieczali się przed mrozem. Nastąpiła niesamowita ulga, a zdawało się, że przyszło to najgorsze..

Siedzieliśmy w te ciężkie mrozy przeważnie w domu wychodząc na zewnątrz budynku tylko z konieczności, dla zaspokojenia potrzeby fizjologicznej lub odgarnięcia śniegu. Nudziło nam się niesamowicie. Bardzo rzadko ktoś się u nas pokazywał. Do sklepu w Zielonej szła zawsze matka, bo ojcu się nie chciało. Ciągłe było źle z zaopatrzeniem. Cukier był na wagę złota, podobnie jak nafta. Co jakiś czas dochodziło coś do sołtysa i ludzie lecieli z butelkami po naftę czy też po cukier lub sól. Z herbatą było gorzej. Kto nie nasuszył sobie macierzanki, ten mógł kupować tylko miętę pieprzową zastępującą herbatę. Byli tacy, którzy uprawiali miętę w swoich ogródkach i mieli jak znalazł. Na wsiach, jak sobie przypominam z tego okresu, nie było kiedy pić tej herbaty. Rano śniadanie gotowane, przeważnie mleczne, obiad to oczywiście, że gotowany. Podobnie i kolacja, a w międzyczasie bardzo szeroko stosowana była kawa zbożowa, którą pito bez cukru, co najwyżej słodzono dzieciom. Machorkę zdobywano różnymi sposobami, przeważnie od ryzykantów chodzących piechotą gdzieś w odległe

strony Pomorza. Wędrownych handlarzy nazywano „szmuglerami”. Takie zaopatrywanie na wsiach trwało w zasadzie w ciągu całej okupacji, z tym że przez pierwsze dwa lata było najintensywniejsze.

Do najbardziej powszechnych należały w pierwszym okresie karbidówki, bo wystarczyło mieć karbid i puszkę od konserw, a także kawałek szmaty i brukiew i można było świecić. U nas w domu nie było jednak takiego urządzenia i korzystaliśmy z nafty. Dla mnie był problem, bo o czytaniu to mogłem sobie pomarzyć. Miałem na to czas ewentualnie w ciągu dnia, ale wtedy było mnóstwo przeszkód – ciasno, zimno, coś trzeba było zrobić itd. Moim największym zainteresowaniem cieszyły się jednak książki, których oczywiście brakowało. Penetrowałem więc w ciągu dnia nasz strych i brałem co się udało znaleźć do czytania. Nawet udało się wyszukać dość sporo takiej makulatury. Znalazłem też trochę książek ze szkoły średniej mojej najstarszej siostry.

Wtedy, w tym okresie biedy, kiedy zostaliśmy faktycznie odcięci od świata z powodu tej ohydnej wojny oraz ogromnych zasp śniegu, prześladowała mnie ogromna tęsknota. Chciało się rozmawiać z byle kim i o byle czym, na byle jaki temat, aby tylko zamienić jakieś kilka słów, usłyszeć głos obcego człowieka spoza swojej rodziny. Zajęcia dzienne zarezerwowane dla dzieciaków polegały na wybieraniu ziemniaków z piwnicy i pomocy przy odrzucaniu śniegu na podwórku. W pewnych miejscach zasy sięgały nawet okapów dachu. Próbowałem zrobić sobie narty z desek, ale nic z tego nie wyszło – nie miały zawiniętych czubów i wrzynały się w śnieg.

Poza czytaniem musiałem nieraz pomagać w stodole, jak był mniejszy mróz. Nawet próbowało się trochę rąbać drzewo na opał czy też młócić cepami, bo ojciec uczył wszystkiego. A do rytuału rodzinnego należało zawsze rżnięcie sieczki dla naszych zwierzków. Dobrze im to robiło, bo miałem przynajmniej trochę gimnastyki.

W czasie zimy nie docierał do nas żaden Niemiec, żaden nakaz, żadnych świadczeń nie musieliśmy wykonywać. Ale przyszła wiosna i należało się liczyć z tym, że ktoś sobie o nas przypomni. Póki co jednak trzeba było zabrać się do prac polowych. Już wkrótce jednak przewidywania sprawdziły się. Niemcy zarządzili spis rolny. Trzeba było podać cały stan żywego inwentarza – koni, bydła, trzody chlewnej, drobiu, a także wielkość uprawianych gruntów. Niebawem zostały ustalone wielkości kontyngentów – liczba jaj, ilość codziennych dostaw mleka do zlewni wiejskiej, a także zwierząt rzeźnych i zboża. Bezwzględny zakaz spasaniania zboża chlebowego przez zwierzęta i ubojów zwierząt na swoje potrzeby. Za wszystkie wykroczenia i nieprzestrzeganie zakazów groziły poważne sankcje – bicie, więzienie, aż do kary śmierci włącznie.

Prace wiosenne na naszej ziemi przebiegały sprawnie, mimo że nie mieliśmy ani wprawy ani też wszystkich potrzebnych narzędzi i sprzętu. Zawsze trzeba było coś pożyczać. Nie mieliśmy natomiast takich kłopotów jak prawie wszyscy mieszkający w zabudowie zwartej, czyli we wsi. Byli i tacy, którzy dojeżdżać musieli do swoich pól nawet po kilka kilometrów, tracąc bardzo dużo czasu. My za to mieliśmy wszystko koło siebie i można było więcej czasu przeznaczać na inne zajęcia. Kłopot nieustający to oczywiście pasienie krowy. W zasadzie mnie to już jakoś mniej absorbowało, bo nadawałem się do cięższych prac.

Zboże nam nie urosło, bo ziemia nie nawożona żadnym nawozem sztucznym nie dała plonu. Pojawiły się tylko nędzne, karłowate lodygi, maltretowane dodatkowo przez nasze własne ptaszyska, z którymi nasza codzienna walka okazała się bezskuteczna. Nie wszystko co ładnie naszkicowane na papierze i zaplanowane ma swój sens w praktyce. Tego uczyłem się już wtedy patrząc na nieudane wyniki. Zmieniona została koncepcja zagospodarowania pewnych fragmentów gruntu i ziemia z prawej strony podwórka została przeznaczona na pastwisko, a po stronie lewej – na uprawy okopowych.

Bezpośrednio po roztopach jeden z gospodarzy dał nam ponad dwadzieścia wysadek wierzbowych, którymi obsadziliśmy odcinek drogi przed naszym domem oraz dróżkę dojazdową do naszego gospodarstwa. Drzewka te przyjęły się, zaczęły puszczać listki i rosnać. Zorganizowaliśmy też ogródek na kawałku gruntu pomiędzy domem a drogą ogólną, w którym mieliśmy uprawiać warzywa, bo w tych okolicach nie było tradycji uprawiania warzyw i matka wciąż narzekała. Tam też nasadziliśmy kilka rzędów malin. Okazało się jednak, że do uprawy warzyw trzeba długo się przygotowywać, a zwłaszcza dobrze pielęgnować i nawozić ziemię. Toteż dopiero po kilku latach mogliśmy zebrać pierwsze plony.

W całym naszym stresie po wiosennych triumfach Niemców nie mogliśmy się odnaleźć. Pracy było dużo, kłopotów jeszcze więcej, a najwięcej różnych plotek i kombinacji. W tym całym beznadziejnym życiu, jakie wówczas było naszym udziałem, tylko zajęcie – jakiegokolwiek nawet – miało jakiś sens. Wtedy, na wiosnę, były to roboty na łąkach przy kopaniu i przerabianiu torfu. Sezon rozpoczynał się po zakończeniu wiosennych prac polowych i trwał zazwyczaj do samych żniw. Pracowało się nieraz i po 18 godzin na dobę. Tak od świtu do zmroku. Ojciec zafundował sobie dla nas jeden pręt błota (średnio licząc jeden pręt miał 20 metrów sześciennych). To należało wydobyć na wierzch spod darniny, a następnie przerobić. Do miejsca tego błota było około dziewięciu kilometrów – czyli kawałek drogi. Ale nie uczestniczyliśmy w tym wydobywaniu. Wykopali nam najęci ludzie, którzy się na tym znali i potrafili wszystko wybrać co się nam należało. Wykonując nieumiejętnie pracę można było spowodować zalanie urobiska i zatopienie połowy zapłaconego błota.

Któregoś dnia, kiedy pracowaliśmy budując z cegieł becзки, dotarła na łąki wieść, że Niemcy robią obławę na chłopów. Kto żyw zaczął zmykać w żyto i do niedalekiego lasu. Ojciec oczywiście zostawił nas samych i wraz z wieloma innymi chłopami czmychnął do lasu. Na łąkach zostały tylko kobiety i dzieciarnia. Po jakimś czasie zauważyliśmy grupę uzbrojonych Niemców, w mundurach i po cywilnemu, idących drogą nieopodal naszych łąk. Szli do pobliskiej wsi. Nas ominęli i poszli w odwrotnym kierunku. Później wyjaśniło się, że alarm był nieprecyzyjny, bo była to próba schwywania dwóch bandytów – znanych ze swoich wyczynów jeszcze przed wojną. Jeden nazywał się Piejdak, a drugi Cieślik. Podobno w czasie tej obławy Piejdak został zastrzelony, a Cieślik zdołał zbiec. Ale po tym wydarzeniu już na ten temat nic więcej nie słyszałem. Po jakimś niedługim czasie chłopci i nasz ojciec powrócili na łąki i zabrali się ostrożnie do swoich zajęć. Torf nasz sechł dość szybko, bo panował iście czerwcowy upał. Zwózka była dość męcząca, ponieważ jeden kurs z ładunkiem wymagał pokonania ponad piętnastu kilometrów w obie strony, a drogi gruntowe na tej trasie były bardzo nieciekawe – w jednym miejscu piaszczyste, w innym błotniste. To powodowało, że ojciec wyjeżdżał bardzo rano i wracał na południe z ładunkiem. W czasie południowego upału znosiliśmy przywieziony torf z wozu do szajerka wiaderkami i koszyczkami, kasztanka odpoczywała i jadła swój obiad, a po południu ojciec obracał jeszcze drugi raz.

Żniwa nie wymagały od nas wielkiego wysiłku. Żyta zasiane były 3 hektary, ale nie było wiele do zbierania. Jednym słowem nędza. Dobrze, że były jeszcze jakieś zapasy z roku poprzedniego, dzięki czemu jeszcze nie groził nam głód. Zaraz po żniwach zaczęły się podorywki. Akurat skończyłem dwanaście lat, więc czas było zabrać się na dobre do pracy w polu. Zmieniałem ojca przy pługu, bo wolałem robić ciężko niż paść krowę. A poza tym to także i z konieczności, bo od czasu do czasu ojciec narzekał na ból serca i pamiętam jak nieraz leżał na łóżku i stękał z bólu. Matka bardzo martwiła się z tego powodu. Potem już na dobre zacząłem chodzić za pługiem. Praca ta byłaby całkiem znośna, gdyby nie kamienie, które raniły nogi. Powinno się chodzić w butach z cholewami, wtedy jest stosowna ochrona i względnie wygodnie. My natomiast – tak ojciec, jak i ja, chodziliśmy na bosaka i to nas ujarzmiało. Zdarzyło mi się nieraz skakać po polu z bólu.

Latom ludzie mieli mniej czasu na politykowanie. Nastąpiło jakieś przemęczenie psychiczne ludzi, jakaś rezygnacja i żal z niespełnionych obietnic naszych sojuszników i przyjaciół Polski. Zostawili nas samych, naszej własnej biedzie. Lato schodziło, a tu ani śladu poprawy losu czy zapowiedzi wyzwolenia. Widać było natomiast tylko butę i panoszenie się Niemców.

Po jakimś czasie we wsiach między Mławą a Żurominem władze okupacyjne zarządziły zbiórke kamieni polnych z przeznaczeniem na naprawę dróg. Płacili za pracę dwie marki dziennie, ale najważniejsze, że chroniło to przed wywiezieniem do Rzeszy. Kiedyś po rozpoczęciu tych robót zjawił się u nas młody człowiek i zapytał matkę, czy nie zgodziłaby się przyrządzać codziennych obiadów dla niego. Przedstawił się jako Jerzy Nowicki i oświadczył, że jest zatrudniony przy melioracji jako technik prowadzący roboty ziemne. Pochodził z Mławy. Robił wrażenie człowieka zasługującego na zaufanie. Matka początkowo oświadczyła, że jest to zbyt zobowiązujące i nie może się podjąć takiego obowiązku. Poza tym nie robiła jeszcze nigdy posiłków dla kogoś spoza rodziny i nie wie czy sobie poradzi. Pan Jurek jednak nalegał oświadczać, że nie jest wymagający i wystarczy mu to, czym my się żywimy. Dodał, że na pewno nie będzie z nim kłopotów. Gdyby coś naprawdę nie wypaliło to zawsze możemy przerwać i zrezygnować. Matka dała się wreszcie namówić na próbę. Od następnego dnia miał zjawiać się w godzinach 12.30 – 13.00.

Okazało się, że pan Jurek Nowicki był człowiekiem o wysokiej kulturze osobistej i realnie traktującym aktualną wojenną rzeczywistość. Był także i dobrym patriotą. To się później okazało, gdy zapoznaliśmy się lepiej. Rozmawiało się wtedy nieraz na różne tematy bez obawy o to, że się coś niewłaściwego chlapnie. Mieszkał czasowo w Zielonej u państwa Lorkowskich, z którymi byliśmy zaprzyjaźnieni. Po pewnym czasie zgłosił się jeszcze jeden delikwent, który też chciał się u nas stołować. Był również technikiem związanym z pracami melioracyjnymi, pomocnikiem pana Jurka Nowickiego, a nazywał się Jurek Grabowski.

Lato przeleciało, a z nim typowe roboty letnie. Nadszedł czas orki i kopanie ziemniaków. Zwykle zmieniały się tylko wielkości poszczególnych zbiorów zbóż, bo raz były lepsze raz gorsze. Składało się tak szczęśliwie, że do nas Niemcy nie zaglądali. Daleko od wsi, droga niezbyt przejezdna, do tego za nami inny powiat, a my na samej granicy. Kosewo to był już powiat sierpecki, a my mławski. Ale dowiedzieliśmy się, że za Mławą wysiedlono dużo ludzi z gospodarstw rolnych. Było to w okolicy Nasarzewa. Ludzie nie wiedzieli co to ma znaczyć, ale napchało się tam sporo wojska. Były tam też czołgi niemieckie i odbywały się jakieś strzelania. Później – ale to znacznie – okazało się, że jest to taki poligon i dlatego Niemcy oczyścili z ludności kawał terenu dla swoich potrzeb.

Znów przeleciały święta, ale już nie kręciłem się za choinką, bo człowiek dorastał, a warunki życiowe zmuszały do myślenia kategoriami praktycznymi. Warunki egzystencji nie zmieniły się, tyle tylko, że łapało się jakiegoś hartu i bardziej było się odpornym na tą biedę, która prześladowała nas ciągle.

Zimno bardzo doskwierało. Drewniane, cienkie ściany zimą podobne były do lodowych, bo na stronie wewnętrznej robiła się szadz.

Administracja niemiecka porządkowała sprawy związane z tożsamością wszystkich mieszkańców i w ramach tego wyszło zarządzenie, że każdy kto ukończył lat dwanaście musi mieć „Ausweis”. Wyznaczony został dzień i trzeba było zgłosić się do sołtysa – pana Mendla, u którego urzędował fotograf. W krótkim czasie zostały wyrobione dokumenty i zacząłem się czuć jak dorosły. Jednak mój wzrost nie dorównywał moim ambicjom – należałem do takich, którzy rosną wolno. Chłopaki w moim wieku byli ode mnie wyżsi i tego właśnie im zazdrościłem. W tym to właśnie czasie zjechała – a właściwie przywędrowała do nas na piechotę moja przyrodnia siostra Marysia. Była to niedziela, już późno po południu, a tego jej przyjazdu nikt się nie spodziewał. Marysia, która po naszym wyjeździe z Warszawy została na stacji i uczyła się krawiectwa, w pewnym czasie przeprowadziła się do kuzynów mieszkających na wsi poza Warszawą, gdzieś w rejonie Góry Kalwarii. Nawet nie wiedzieliśmy dobrze gdzie się znajduje. I tak właśnie pod wieczór w ten duży mróz przyczłapała dziewczyna zmęczona i z bąblami na nogach. Nasza Mańcia miała wtedy osiemnaście lat i tyle wszystkiego co na sobie. Byliśmy wszyscy zaskoczeni, bo blisko dwa lata się nie widzieliśmy. Zrobiło się nas więcej. Było biednie, ale jakoś się żyło z ciągłą nadzieją na rozwiązanie spraw skomplikowanych przez wojnę.

Przeszły żniwa – praca w polu, podorywki i orki, zaraz kopanie ziemniaków i siewy. Niemcy wciąż grzmiały o swoich zwycięstwach i ciągle mają kawalek do Moskwy. Dwa lata pobytu na wsi bardzo nas zmieniły i wiele nauczyły. Przyzwyczailiśmy się do takich zdawałoby się nienaturalnych spraw, jak praca w niedzielę w gospodarstwie, że trzeba robić przy zwierzętach. Zastępowaliśmy już często ojca i matkę w załatwianiu spraw poza domem np. okucie konia w kuźni to już była moja robota. Jeździłem wtedy wierzchem na kasztance do kowala Wysockiego w Kosewie, gdzie zazwyczaj robiło się roboty kowalskie. Co jakiś czas trzeba było zanieść do kuźni lemiesz od pługa, żeby go poklepał, bo jak był tępy to nie można było robić orki.

Pewnego jesienno-go dnia robiłem podorywkę na polu w odległości około stu pięćdziesięciu metrów od naszych zabudowań, gdy zobaczyłem jak drogą z kierunku od Kosewa jedzie na rowerach trzech żandarmów. Poznawało się ich z daleka po mundurach i wysokich czapach z blachami. Jak się później okazało byli już u Adamczyków i dopytywali się kto tu robi „sznaps”. Jak przyjechali do nas to wzięli ojca w obroty, żeby się przyznał. Kiedy zaczął się wypierać, wyprowadzili go za stołotę od tej strony gdzie ja podorywałem i zaczęli bić kijami. Było ich trzech i tak się rozstawili, że ze wszystkich stron okładali ojca tymi kijami. Patrzyłem na to i płakałem, ale nie mogłem nic poradzić. Wreszcie zostawili ojca i nakazali stawić się następnego dnia na zeznanie na posterunku żandarmerii w Kuczborku. Wiedzieliśmy, że będzie źle. Ojciec zgłosił się tak jak kazali, ale w Kuczborku nie wytrzymał na przesłuchaniu. Przyznał się, że zrobił dwa czy trzy razy, później popsuł rurki i zakopał i teraz nie robi. Nikogo nie wydał i to było wszystko. Kazali mu tylko przynieść te popsute rurki i oddać. Gdy wrócił po tym przesłuchaniu, był cały posiniaczony i opuchnięty od bicia. Poszukał tych rurek, połamał je, pobrudził ziemią, żeby wyglądały jakby je wykopał, zawiązał w paczkę i znów poniosł na posterunek do Kuczborka. Po tym wydarzeniu na razie sprawa na jakiś czas ucichła. Spokój był przez kilka miesięcy.

Pewnego jesienno-go dnia z rana – w niedzielę – zaszedł do nas jakiś człowiek. Był to mężczyzna w wieku około 35-40 lat o pospolitym wyglądzie. Spytał czy nie mógłby u nas trochę odpocząć. Ojciec powiedział, że owszem może. Matka zrobiła mu coś jeść i poczęstowała herbatą z macierzanki i mięty. Po tym posiłku spytał, czy mógłby trochę się przespać. Matka zrobiła mu posłanie na łóżku, ale on powiedział, że chce tylko się zdrzemnąć. Ale jak się zdrzemnął, to spał cały dzień aż do wieczora, jak przysłowiowa kłoda. Wieczorem gdy się obudził rozmawiał z rodzicami jakiś czas. Wydobył z torby kłozowe spodnie i kamasze, przebrał się, a następnie matka zrobiła mu jakiś obiad, który zjadł i podziękowawszy za taką gościnę pożegnał się. Wychodząc zostawił swoje długie buty mówiąc, że nie będą mu już potrzebne. Żadnej wiadomości o tym człowieku nie mieliśmy. Ciekawe, kto to mógł być?

Rok 1941 kończył się, a mrozy były siarczyste. Dotarło do nas urzędowe pismo wzywające ojca do zgłoszenia się do więzienia w Sierpcu w celu odbycia kary trzech miesięcy. Był to wyrok sądu w Mławie w związku z tą jesienno-go sprawą z żandarmami. Ojciec narzekał wciąż na serce i na żołądek, poza tym miał jeszcze inne schorzenie o czym nie wiedziałem. W domu na ten temat naradzano się oczywiście beze mnie. Stało się na tym, że ojciec będzie się starał przedostać przez zieloną granicę do Warszawy i tam miał nadzieję przeczekać wojnę. My mieliśmy zostać sami na gospodarstwie i dawać sobie jakoś radę. Poczyniono starania o kontakty z odpowiednimi ludźmi. Udało się. Niebawem sprawę sfinalizowano i ojciec znikł jak kamfora.

Po zniknięciu ojca, gdy wyszło na jaw, że nie zgłosił się w ustalonym terminie do odsiadki, zaczęły się wizyty żandarmów w naszym domu. Chcieli dowiedzieć się, gdzie przebywa. Przewalali wszystko w domu, czy przypadkiem nie schował się do jakiegoś kąta i torturowali matkę. Wpadali co jakiś czas do domu i za każdym razem pastwili się nad matką. Po każdej takiej wizycie była posiniaczona i opuchnięta od bicia kijami, ale nie wydała ojca. Nam, dzieciakom, dawali jeszcze spokój.

Trzecia zima okupacyjna była bardziej podła i męcząca niż dwie poprzednie. Siedziało się w domu przy szybach, albo coś się porobiło na podwórku. Trzeba było pomagać matce we wszystkim, bo sama nie dałaby sobie rady. Karmienie zwierząt, trochę roboty w stodole, a także przy rżnięciu siczki. Odzieży się nie kupowało, ale wyrastaliśmy ze starej i nie pomagały przeróbki dokonywane przez matkę we własnym zakresie. Sprawy jakichś zasobów ubraniowych nie interesowały nas jednak nigdy, co świadczyło, że zawsze było się w co ubrać.

Byliśmy teraz sami w piątkę – matka, siostra i nas trzech. Dzieliliśmy się pracą, jaką trzeba było wykonywać i ciągnęliśmy dalej. Po skończonej zimie zaczął się sezon prac polowych i już nie było wyboru. Wszelkie roboty polowe i inne związane z pracami wiosennymi stały przed nami w pełnej krasie. W tym okresie i nieco później mieliśmy pełną gamę problemów bieżących typowych dla sezonu wiosenno – letniego oraz dodatkowo ze względu na ucieczkę ojca. Ale nie było żadnych zastojów.

Czas mijał, wojna wciąż gdzieś trwała, tylko z Niemcami robiło się coraz to gorzej na wschodzie. Na naszych terenach nigdzie nie słyszał strzałów – to znaczy, że wszystko jeszcze daleko. Cokolwiek by było, to i tak trzeba pracować na polu i zbierać te plony, które wydała ziemia, dokonywać siewów i nasadzeń we właściwym czasie.

Któregoś dnia po południu przygotowywałem pole pod zasiew żyta, gdy podeszły do nas dwie splakane kobiety idące przez pola od strony Kuczborka, gdzie mieściła się gmina i posterunek żandarmerii. Matka zapytała co się stało. Jedna z nich zaczęła opowiadać, że dzisiejszej nocy zabrali z domu jej męża Wojtkiewicza z Cierpigorza. Ale to nie żandarmi, tylko SS-mani. Teraz były z siostrą w Kuczborku na posterunku, żeby się coś dowiedzieć co jest i za co go zabrali. Ale w gminie nic nie wiedzą. Nie ma go tam i dlatego tak rozpaczają. Matka zaczęła ją pocieszać. Stałem obok i myślałem, że skoro to SS-mani, to musi być sprawa nie taka byle jaka. Bo jak się tylko gdzieś pokazali, to zaraz były egzekucje. Okazało się, że ta rozpacz nie była wcale nieuzasadniona. Następnego dnia w Zieluniu SS-mani wykonali egzekucję na dwudziestu Polakach – jako akt zemsty, ale nie wiem za co.

Był rok 1943. Uporaliśmy się już z wiosennymi pracami w polu, więc miałem więcej czasu na spotkania towarzyskie i rozmowy z rówieśnikami. Któregoś razu po mile spędzonym dniu wróciłem do domu i zostałem zamurowany straszłą wieścią. Żandarmi zabrali naszą matkę do Kuczborka, bo znaleźli u nas trochę mięsa z ubitego wcześniej wieprzka. Gorzej być nie mogło. Z relacji siostry i braciszków wynikało, że Niemcy robiąc rutynowy objazd swojego terenu – a nie byli u nas już dość dawno – wstąpili zwyczajowo zapytać o ojca. Widocznie jadąc z drogi już do naszej chałupy zobaczył któryś przez nie zasłonięte okno, jak moja siostra Marysia ścieliła łóżko, a do tego łóżka wrzucono jakieś mięso. Szwab pomyślał widocznie, że to może ojciec chowa się pod pierzynę i jak wpadł, to zaraz odkrył pościel. Wówczas zobaczył jakiś poleć mięsa i zaczęło się przesłuchanie. Matkę zaraz na miejscu stłukli bardzo, żeby powiedziała skąd jest mięso. Nie było rady – musiała się przyznać, że z własnego uboju. Potem chcieli się dowiedzieć, kto jej pomagał. Powiedziała, że sama, ale nie uwierzyli jej i bili dalej. Nie przyznała się, więc zabrali ją ze sobą do Kuczborka do aresztu. Noc spędziłem prawie nie śpiąc, udręczony i pełen obaw o wszystko. Nie wiedziałem co może być.

Drugiego dnia rankiem udałem się do Kuczborka i zaniósłem matce jedzenie. Ale gdy zgłosiłem się do żandarmów na posterunek, to wzięli mnie na przesłuchanie do środka i pytali, kto pomagał matce. Nie wiedziałem wtedy, co powiedziała matka, ale intuicyjnie nie przyznałem się do pomocy, tylko zacząłem płakać. Ale to nie pomogło i zaczęli mnie bić – jeden po twarzy z obu stron parę razy, a drugi z boku sięgał mnie pyłą. Nie trwało to jednak długo i dali mi spokój. Nie pozwolili jednak zobaczyć się z matką i musiałem jedzenie zostawić. Gdy mnie wypuścili z posterunku zaszedłem z boku od strony komórki i tam zastukałem w okno. Za chwilę matka mi się odezwała. Powiedziała mi, że zrobiła to sama i że nie wydała nikogo. Ale nie mogłem długo prowokować spotkania i musiałem się pożegnać. Żandarmi powiedzieli mi, żebym mamie już nie przynosił jedzenia, bo zabierają ją do powiatu. Wróciłem do domu załamany.

Zostaliśmy sami – ja, siostra Marysia i dwóch młodszych braci – Jurek i Fredek. A także nasz dobytek żywy, który chciał jeść i o który trzeba było dbać. Życie coraz bardziej koszmarnie. Na szczęście mimo rewizji nie znaleźli wszystkiego mięsa i słoniny z tego uboju wieprzka. Zostało więc kilkanaście kilogramów nie zabranych

Po jakichś trzech dniach pojechałem do Mławy i poszukałem gmachu sądu. Przy sądzie było więzienie i tam spodziewałem się, że może uda mi się czegoś dowiedzieć. Zacząłem krążyć w pobliżu, bo był to budynek wolno stojący, a wokół teren ogrodzony. Przeszedłem się z boku i za budynkiem. Zobaczyłem grupę kobiet pracujących w tym ogrodzie. Zbliżyłem się i spostrzegłem między nimi matkę, która mnie również spostrzegła, odłączyła się od grupy i podeszła do mnie. W tym miejscu nie było żadnego ogrodzenia, więc przywitaliśmy się. Matka nie robiła wrażenia jakiejś załamanej osoby, była raczej bardziej rozgorączkowana i roztrzęsiona – może nieoczekiwanym spotkaniem. Krótko wymieniliśmy kilka zdań. Dałem jej przywiezione zawiniątko z prowiantem. Matka tylko zdążyła mi powiedzieć, że chyba wpadła przez Marysię, która grzebała się przy łóżku i to, że jest już osądzona i dostała trzy lata więzienia. Zacząłem pobekiwać, bo to mnie tak uderzyło jak wyrok śmierci. Po chwili

wachman pilnujący więźniarek nie śpiesząc się – a widział od początku to nasze spotkanie – krzyknął z daleka: „weg, weg!” i kazał mi się wynosić. Musiałem odejść. Pożegnaliśmy się nic nie mówiąc na do widzenia. To było moje ostatnie widzenie się z matką i dopiero w 1945 roku spotkaliśmy się ponownie. Znamienne, że nie pamiętam w jaki sposób dostałem się do Mławy i jak wracałem. Absolutnie nic więcej z tego dnia nie pamiętam.

Sytuacja była krytyczna. Gospodarzyliśmy sami tak jak umieliśmy, a umieliśmy niewiele choć zdawało się, że wie się wszystko. Nie ukończyłem jeszcze piętnastu lat jak zostałem głową rodziny.

Lato spędzaliśmy na zdobywaniu trawy dla krowy i jałówki, a także i dla koni. Na naszym polu rosło wszystko powoli i ledwo odrastało od ziemi. Zboża nie było, bo już się skończyło stare, a nowe jeszcze nie urosło, podobnie z ziemniakami – wszystko na styk. Była maciora i dwa wieprzki – takie podrastające warchlaki. Mleko nosiło się codziennie do Zielonej do mleczarni. Obowiązek dostaw. Podobnie istniał obowiązek dostawy jaj kurzych. Wegetowaliśmy. Chodziło się na miedze między zboża, gdzie rosła trawa. Rwało się do worków i karmiło swoje stadko. Drób tak samo wymagał dożywiania. Ze wszystkim było skąpo.

Dokładnie nie pamiętam daty aresztowania matki, ale miało to miejsce na pewno w końcu maja. Wkrótce zaginęła też moja siostra Marysia. Okazało się, że wyjechała przez „zieloną granicę” do Warszawy. Nie miałem pojęcia, że była wtedy w ciąży z Waławem.

Gdy zostaliśmy już ostatecznie tylko we trzech – ja i moi młodszy bracia – czułem się już jak człowiek dorosły. Życie i dotychczasowe doświadczenia, w przeważającym stopniu wciąż doznawana gorycz i coraz większy zakres obowiązków, postawiło mnie w sytuacji takiego dorosłego z urzędu, a niedokosłego z wieku. Tyle że ta nominacja odbywała się w trybie bezwarunkowym, bezdyskusyjnym i bez żadnej alternatywy.

Harowaliśmy wtedy ciężko i zdarzało się wieczorem przy rżnięciu sieczonej trawy nawet zasypiać. Nikt nikogo nie żałował – była konieczność i basta. Na polu pielenie zielska, obróbka przy ziemniakach, usuwanie chwastów, redlenie, torfy, praca w domu, konie, krowy, świnie. A i drób także.

Żyjąc w tych kłopotach i niedostatku wpadłem na pomysł, żeby zrobić praktyczny użytek z pewnych zapasów bielizny pościelowej znajdującej się w komodzie. Było tam kilka kompletów bielizny jeszcze śnieżno-białych, bo nie używanych. Sytuacja w zaopatrzeniu w tego rodzaju artykuły była beznadziejna, a widziałem, że u niektórych ludzi, gdy było pranie to spali już pod samymi wyspami czerwonymi – bez powleczenia. Zorientowałem się w cenach takich rzeczy i okazało się, że gdyby się udało spieniężyć część tego zapasu – praktycznie leżącego bez wykorzystania – to można byłoby nawet kupić jakiś używany kierat (tu nazywany maneżem) i poprawić naszą kondycję. Nikt o tym nie wiedział ani się spodziewał, że u nas takie rzeczy mogą się znajdować i to dobrze, bo mogliby nam jacyś cwaniacy to zagrabieć. Dogadałem się z Antkiem Watkowiakiem – kuzynem naszych bezpośrednich przyjaciół, żeby taką transakcję gdzieś przeprowadzić po cichu. On miał trochę więcej kontaktów jak ja. Udało się – zdobyłem ponad 200 marek. Ponieważ działanie nasze obiecywało pomyślne doprowadzenie do stanu, że kupię ten kierat, podziałaliśmy jeszcze i sprzedałem następne poszewki za pośrednictwem Antka, który już ze mną uzgodnił swoją prowizję.

Mieliśmy kiedyś wizytę Niemca – gospodarza gminy – który po obejrzeniu naszego gospodarstwa i stwierdzeniu, że są nieletni sami bez rodziców, podjął decyzję, że trzeba dzieciaków ulokować pod czyjąś opieką. Wydał polecenie sołtysowi, żeby to natychmiast załatwił. Przyjazd ich miał miejsce późną jesienią, kiedy woziliśmy wodę z Zielonej i z Sadowa. Było to zdarzenie nagłe i zapowiedź wysiedlenia z gospodarstwa była dla nas niemalże szokiem. Zaistniało prawdopodobieństwo, że już nigdy nie wrócimy na swoje. Co się wtedy dzieje w głowach – oczywiście różne domysły i chęć jakiejś samoobrony, a naprawdę to nie wiedzieliśmy jak się zachować. Machnąłem do Watkowskiego na Sadowo i powiedziałem mu co zaszło. Powiedziałem też, że chcemy trochę naszych rzeczy przechować u niego, bo nie wiadomo co z tego wszystkiego wyjdzie i jaki nas czeka los. Przyjechaliśmy do nas, spakowaliśmy trochę pościeli, jeden z dwóch dywanów na ścianę, jakieś dobre sukienki i przewieźliśmy to do Watkowskiego w tajemnicy, tak żeby nie rzuciło się to w oczy. Reszta rzeczy została i mieliśmy jeszcze raz pojechać. „Stary Watkoś” został, aby zrobić nam kolację, bo jadąc do nas przywiózł trochę pszennej mąki, której nie próbowaliśmy od dawna i robił nam makaron. Jeszcze gniótł ciasto na kluski, kiedy zapukało do nas dwóch panów – a było już ciemno – co nas trochę zdziwiło. Okazało się, że był to pan Kłos i jego szwagier – Witkowski ze starych parceli w Zielonej. Powiedzieli, że gospodarz gminy nakazał sołtysowi wyznaczyć na noc wartowników, żeby nam tej czegoś nie rozkradli. No i sołtys wyznaczył ich dwóch. Przesiedzieli u nas całą noc zgodnie z poleceniem. Po zjedzeniu kolacji „Watkuś” poszedł do domu, a my poszliśmy spać. To była taka nasza ostatnia noc na swoich śmieciach w czasie okupacji.

Następnego dnia zostaliśmy przewiezieni do Zielonej i oddani jako przybrane dzieci do gospodarza, który nie miał własnych. Nie chciał nas początkowo przyjąć, ale sołtys nie ustąpił i powiedział, że jak nas nie przyjmie to może o tym powiedzieć samemu gospodarzowi gminy. Zostaliśmy więc przyjęci. Wraz z nami przewiezione zostało całe nasze mienie nieruchome i nasz inwentarz. Naszym przybrany

ojcem został Stefan Rochna. Polecenie opiewało na: zajęcie się sierotami i ich dobytkiem – inwentarzem żywym i całym gospodarstwem.

Rochnowie byli w średnim wieku i nie mieli dzieci własnych – byli jak ich oceniano średnio zamożnymi gospodarzami i zawsze było u nich co jeść i coś w kieszeni. Nigdy nie cierpieli na niedostatek lub jakieś braki zboża, ziemniaków czy czegośkolwiek na przednówku. Rochna – poza swoją słabością do lenistwa, nie był złym człowiekiem i stosunki nasze ułożyły się przykładowo, a nawet do tego stopnia, że wkrótce nasza gospodyni tak nas traktowała jak własne dzieci. Początkowo zaczął nas wdrażać do pracy sądząc, że nie jesteśmy zbyt robotni, a później okazało się, że to właśnie on nam uciekał często na nowinki na wieś, a my zostawaliśmy na gospodarstwie. Zimą nie było jednak żadnej za ciężkiej dla nas roboty. Młóciliśmy zboże cepami, to umieliśmy nawet nieźle i aż się dziwił – i nie tylko on, że warszawiaki lepiej to robią, jak chłopaki miejscowe w ich wieku.

Gdy „zaflancowaliśmy” się u Rochnów, to nazywano nas Rochniakami, a po jakimś czasie zaczęto im na dobre zazdrościć „warszawiaków”. Żyliśmy zgodnie i bez jakichś ambicji. Rochna z racji tego, że był przebiegły i zawsze potrafił się ze wszystkiego wymanewrować, nie był lubiany przez głupszych od siebie. Nazywali go „stypak”, bo kulał nieco na jedną nogę. Mówili wciąż przy każdej okazji – ten „stypak” to ma zawsze szczęście, dostał chłopaków do roboty i teraz to już całkiem do niczego nie musi się brać.

W listopadzie 1943 roku doszła do nas wiadomość, że Niemcy dopadli ojca i że odbywa odsiadkę swojego wyroku w więzieniu w Sierpcu. Miało to miejsce niedługo po naszym wysiedleniu z gospodarstwa do Rochnów. Jak zwykle w takiej sytuacji zaczęły się różne komentarze. Wypytywania, doradzania, opiniowania i tak doszło do tego, że namówiono mnie, aby udał się do Sierpca i zobaczył z ojcem. Głupota i nieświadomość zadecydowała, że podjąłem się tej wyprawy. Nie byłem świadomy trudności i nie znałem procedury wymaganej w wypadkach, gdy chce się uzyskać zgodę na złożenie wizyty skazanemu, odsiadującemu wyrok.

Dzień, w którym wyruszyłem był lekko mroźny i zamglony. Był to 18 listopada 1943 roku. Wędrówka rozpoczęła się o godzinie szóstej, było jeszcze ciemno i nie wiadomo jaka może być pogoda w ciągu dnia. Ziemia zamrażnięta, śniegu nasypało, ale jeszcze nie tak, żeby były zasy trudne do przebycia. Zostałem wyposażony w jakieś zawiniątko z prowiantem dla siebie i coś dla ojca, ubrany nie za ciepło, bo nie chciałoby się iść i o godzinie szóstej wystartowałem z Zielonej przez Żuromin do Sierpca. Na miejsce dotarłem już po dwunastej i to sporo. Zastukałem do bramy więziennej z takim skutkiem, że zjawił się jakiś wartownik. Jakoś tam wytłumaczyłem, że tu jest mój ojciec i że chciałem go zobaczyć. Z odpowiedzi zrozumiałem tylko, że nie można się widzieć bez zgody sądu. Poinformował mnie też gdzie ten sąd się znajduje, ale nie bardzo rozumiałem poza tym, że gdzieś w środku miasta.

Powędrowałem z powrotem skąd rozchodziły się drogi i skierowałem do śródmieścia – wciąż nie mając większego pojęcia gdzie tego sądu szukać i tak na intuicję podciągnąłem gdzieś w pobliże. Nareszcie udało mi się znaleźć ten budynek i wtedy objął mnie strach. Zrozumiałem, że trzeba coś napisać i złożyć, a także, że dzisiaj nic nie załatwię. Wyszedłem z budynku po schodkach na dół nie wiedząc co robić. Zacząłem czuć już zmęczenie i strach, bo po mieście chodzili mundurowi Niemcy z bronią. Co będzie jak mnie wylegitymują? Nie pozostało mi nic innego jak wracać. Po pierwsze to gdzie miałem spać. Ruszyłem z powrotem w kierunku tych rozstajnych dróg, żeby jak najprędzej wydostać się z miasta. Było jeszcze ciemno, gdy dociągnąłem do mojej wioski. W chałupie jeszcze nie spali i zrobili na mnie wielkie oczy, bo nie spodziewali się mojego powrotu w tym samym dniu. Była już około dziesiątej wieczór – czyli szesnaście godzin na nogach. Chciało mi się z tego wszystkiego płakać, ale zacisnąłem żęby i poprosiłem, żeby mi pomogli ściągnąć buty, bo sam nie byłem w stanie tego zrobić. Zaczęli mnie wypytywać co i jak – nie chciało mi się nawet mówić, ale opowiadałem jak było po kolei.

Blżej wiosny 1944 roku, ale jeszcze przed świętami w poście zostałem wysłany na podwodę do Mławy. Pierwsza dyspozycja była – zgłosić się do gminy w Kuczborku. Tam otrzymałem polecenie udać się pod Mławę do obozu junaczków tych „Hitlerjugend”. Wsiadło ze mną w Kuczborku dwóch młodzieniaszków z tej organizacji i pojechaliśmy do obozu za Turzą. Obaj moi pasażerowie nie umieli nic po polsku, a ja nic po niemiecku. Jadąc drogą do Turzy próbowaliśmy nawiązać jakąś konwersację, ale nic nie wychodziło, więc zaprzestaliśmy i po jakimś czasie dowlekliśmy się do tego obozu. Tam polecono mi poczekać, a moi pasażerowie poszli coś załatwić. Gapilem się dyskretnie siedząc na wozie, nie okazując jawnie żadnej ciekawości.

Na placu kręciło się trochę junaczków, ćwiczyli musztrę jacyś z bronią. Ja miałem jak się okazało przewieźć zaopatrzenie żywnościowe z Mławy do Krzywek koło Kuczborka, gdzie była też jakaś grupa tych „Hitlerjugend”. Zauważyłem, że wszystko na tym placu robione było biegiem. Tu nie było wolnego kroku. Jak nie bieg, to szybki i sprężysty krok. Obserwowałem jak ćwiczy jakiś oddziałek i jak maszerowali grupą. Po paru minutach wrócili moi pasażerowie i odjechaliśmy w swoją stronę. W Mławie zgłosiliśmy się do magazynów, gdzie załadowano na wóz jakieś paczki z żywnością, wiadra z marmoladą, cukier itd.

Mimo wzajemnej nieznajomości języków w czasie długiej drogi z nudów zaczęliśmy konwersację w taki sposób, że pokazywaliśmy sobie przedmioty w trakcie jazdy i oni nazywali je po niemiecku, a ja po polsku. I tak się bawiliśmy przez cały czas jadąc do Kuczborka. Sporo się przy tym poduczyłem. Po powrocie rozładowaliśmy wszystko w jakimś magazynie w Krzywkach, a mnie zostało na wozie ze 3 kilogramy marmolady niemieckiej, która wyciekła z blaszanego pojemnika. Musiałem ją później skrobać łopatą. Wyglądała apetycznie, ale była zakurzona i z piachem. Po rozładunku zwolniono mnie do domu.

Po Świątach Wielkanocnych 1943 roku nastąpiła wymiana listów z naszą matką. Oczywiście wszystkie musiały być pisane po niemiecku. W tłumaczeniu pomagała nam pani Anuszevska. W listach wciąż pisała to samo – „jak zdrowie, gdzie jesteście, co robicie, jak wam jest?” I o sobie, że zdrowa i bez zmiany miejsca pobytu. Tak było cały czas dokąd przebywałem w Zielonej, czyli do sierpnia. Później już pisanie odbywało się beze mnie. Nie było żadnych zmian, wciąż przebywała w Fordonie k/Bydgoszczy i chodziła do pracy. A u nas początek intensywnych robót polowych.

Pewnego wieczoru, a było to już latem przed żniwami, po powrocie sołtysa z gminy obiegła wieś wiadomość jak błyskawica, że z całej okolicy młodzi ludzie mają pojechać na kilka tygodni do roboty przy kopaniu okopów. Z Zielonej wyznaczono kilkadziesiąt osób, ale nie wiem dokładnie ile. Na liście znalazłem się i ja. Wyznaczono w większości kawalerkę, ale także i młodych żonatych nie mających gospodarstwa. Także i dziewczyn nie ominęło. Jedna trzecia wyznaczonych to były dziewczyny. Polecenie było krótkie – wszyscy wyznaczeni mają być dowiezieni następnego dnia do Mławy na punkt zbiorczy. Niemal z każdej chałupy kogoś zaklepano do wyjazdu. Wyjeżdżający mieli ze sobą zabrać szpadel, jakieś dodatkowe ubranie, żywność na trzy dni oraz koc.

Wiadomość zaszokowała mnie i niemal zdrętwiałem, gdy to wszystko dotarło do mojej świadomości. Rochniaczka też była przerażona. Jednak nie było żartów – jest nakaz, a egzekutorzy nie znają się na żartach. Rano Rochniaczka popłakała się, jakby żegnała swojego syna. Nakładła mi do walizki całą blachę chleba, masła, sera, cukru oraz jakąś bieliznę i koc. Zostałem odprowadzony na plac koło remizy straży ochotniczej, gdzie odbywały się pożegnania innych i chóralny bek pozostających w rozpacz matek, żon i dzieciaków. Po załadowaniu nas na wozy sprawdzono listy obecności zgłoszonych do wyjazdu i konwój furmanek ruszył do Mławy. Takie było moje pożegnanie i rozłąka z resztą rodziny.

Z Mławy przewieziono nas pociągiem do Mikołajek, a stamtąd – podzieleni na grupy – pieszo z bagażami ruszyliśmy w kierunku wsi Talten (dziś Tałty). Wszyscy z kuferkami, walizkami i tobołkami wędrowali przed siebie. Jak na taki marsz z bagażami na grzbiecie, siedem kilometrów to wcale nie mało. Szyki się pomieszały i lazło się nie pilnując żadnego porządku. Wreszcie dowlekleliśmy się do wsi i tam w dużym majątku ziemskim kazano się nam rozlokować – do czasu wydania dalszych poleceń.

Na placu, na którym dokonywała się ostateczna rozszada i przydział do poszczególnych grup, ustawiane były przy jednym parkanie duże kuchnie polowe, kotły i organizowana była strawa dla całego obozu. Wyłuskano także stolarzy z naszych szeregów i powierzono im budowę dużej wiaty, zabezpieczającej kuchnię jako całość. Tak że nawet deszcze nie mogły przeszkodzić w sporządzaniu posiłków. Z tych wszelkich manewrów można było zorientować się, że może to wszystko trwać kilka tygodni i że nieprędko wrócimy do swoich domostw. Kto wie, czy w ogóle będą nas chcieli zwolnić, czy te roboty dadzą się w ogóle zakończyć? Z pobieżnego szacunku wynikało, że gromada nasza liczyła ponad tysiąc ludzi.

Tego pierwszego popołudnia wachman dowodzący naszą grupą zawiadomił tłumacza, że ma wyznaczyć kilku ludzi do pobrania prowiantu dla całej grupy, a następnie ten prowiant ma być równo podzielony dla wszystkich. Powiedział, że tak będzie codziennie. Dzielenie odbywało się bardzo precyzyjnie. W trakcie tej czynności liczył się każdy gram, a nie mieliśmy wagi. Jak w takich warunkach można podzielić np. kilogram kielbasy na sto równych części? Albo pojemniczka marmolady tak samo na tyle osób? Jednak sposoby były i to uznane przez cały zespół. Po dokonaniu podziału każdy podchodził i odbierał swoją porcję na całą następną dobę. Kto nie panował nad apetytem, mógł sobie zjeść natychmiast wszystko co otrzymał i wtedy do następnego dnia do wieczora mógł się tylko obliżywać.

Zgodnie z zarządzeniem dowództwa obozu pobudka odbyła się o godzinie 6.00. Po ubraniu się, umyciu i śniadaniu już przed godziną siódmą znaleźliśmy się na placu apelowym. Każda kompania otrzymała swój numer. Dziwne, bo nie zapamiętałem numeru naszej kompanii w Talten. Grupy ustawiały się w kolejności według numeracji w szyku wojskowym, „zu drei” – odliczano i następnie grupowy-dolmezier meldował wachmanowi liczbę obecnych.

Zawsze od pierwszego dnia wachman po przyjęciu meldunku pytał, czy są chorzy – jeśli byli to padała komenda „chorzy wystąp”. Po wystąpieniu odbywała się pierwsza weryfikacja, dokonywana przez wachmana, który decydował czy uznać zgłaszającego się za chorego czy też przepędzić delikwenta. W praktyce jakieś bąble na rękach, otarcia, utrudniające pracę, skaleczenia czy krosty, wrzody, były uznawane i tacy pozostawali na placu, a po naszym odmaszerowaniu na odcinki robót byli

prowadzeni do ambulatorium. Po otrzymaniu pomocy medycznej wracali na plac apelowy, gdzie już gromadnie oczekiwali starszycy Niemcy i prosili dowództwo obozu o przydział Polaków do pracy w gospodarstwach rolnych. Nieraz dochodziło nawet do kłótni.

Nasz pierwszy dzień pracy nie był jeszcze sprawnie zorganizowany – tak „po niemiecku”. Mimo posiadania planów i rysunków jakie nosili niektórzy wojskowi, chyba saperzy, to trochę się miotali z wyznaczaniem linii, gdzie mieliśmy zagłębiać swoje łopaty w ziemi. Ale zdołali się z tym uporać i zostaliśmy wreszcie rozstawieni do kopania rowów. Norma jaką nam przygotowali pracodawcy miała wynosić dziesięć metrów na jednego robotnika. Ale ze względu na niezwykłą twardość gleby okazało się to tylko marzeniem, które nie może być zrealizowane. Niemcy widzieli nasze problemy, więc poprzestali na dostarczaniu narzędzi i tylko poganiali nas, żeby nie stać przy robocie. Zauważyliśmy też, że reagują na przerywanie pracy, a nie na powolne ruszanie się przy niej. Pracownik szybko machający łopata i wydajny w pracy nie miał uznania, jeśli tylko zatrzymał się na chwilę dla odpoczynku. Natomiast taki, który się ledwo poruszał, ale ciągle i nie przerywał – był dobry. Od samego początku więc śledziliśmy reakcje wachmanów na nasze zachowanie i przystosowywaliśmy się do ich prawa i mentalności – jeżeli były dla nas korzystne.

Po powrocie z roboty codziennie powtarzał się ten sam rytuał. Grupowy tłumacz z kilkoma dyżurnymi chodził do magazynu żywnościowego po prowiant, który przynoszono na kwaterę dzieląc owe wiktuały.

Upływały dni w ciężkiej pracy. Kiedy oczekiwaliśmy jakiegoś definitywnego rozwiązania dotyczącego naszego zwolnienia, dostaliśmy nieoczekiwane nowe zadanie. Wcześniej byliśmy przekonani, że jak przekopimy ten teren rowami tak dokładnie, jak to uczyniliśmy, to dotrzymają przyrzeczenia i zwolnią nas do domów. Okazało się jednak, że to będzie się ciągnęło dalej. Nieoczekiwane przez nas zadanie, które się pojawiło, wykluczyło na jakiś czas widoki na zwolnienie. Jeszcze było ciepło, ale już wrzesień i przed nami coś co się okazało nie lada orzechem do zgryzienia. Był to wytyczony do wykopania rów przeciwczołgowy. Nowy rozdział dla naszych coraz bardziej spracowanych mięśni i łopat.

Dni były coraz krótsze, więc roboty trwały niemalże od świtu do zmroku. Ranki pod koniec września były chłodne. Ale nawet w takich warunkach niektórych trzymały się wisielcze żarty, a wiele razy opowiadane kawały stale pobudzały do śmiechu. Coraz częściej krążyły pogłoski o naszym zwolnieniu.

Nie wspominałem dotąd o dziewczynach, ale one też pracowały na różnych odcinkach w Talten, z wyjątkiem kopania rowu przeciwczołgowego. Za jakiś czas pojawiła się plotka, że dziewczyny mają być wszystkie zwolnione, a mężczyźni tylko częściowo. Zawsze jak ludzie gadają to i coś wygadają, bo plotka potwierdziła się, chociaż nie całkiem. Pod koniec września tak po sześciu tygodniach robót w Talten, któregoś dnia zakomunikowano nam na apelu, że mamy pojechać jeszcze w jakieś inne miejsce do pracy przed zwolnieniem do domów. Już nie pamiętam jak to przyjęliśmy, ale wyglądało na to, że odeszła nadzieja na zwolnienie. Do domu puścili tylko dziewczyny, ale też nie wszystkie.

Następnego dnia nakazano zebrać się na placu apelowym ze swoimi manatkami. Kompanie ustawiły się jak zwykle „zu drei” i zakomunikowano, że wyjeżdżamy na nowe miejsce jeszcze trochę popracować. Następnie uformowana została kolumna i ruszyliśmy marszem na stację Nikolajken. Widok tej kolumny obdartusów, nędzarzy z tobołkami i walizkami był żałosny.

Leźliśmy (bo inaczej tego nie można nazwać) przynamniej półtorej godziny, chociaż przynaglali nas wachmani. Każdy taszczył swój tobołek w zasadzie z brudami – bo nic więcej nie mieliśmy. Po zakończeniu tego marszu znaleźliśmy się na bocznicę w Mikołajkach. Tam kazano nam się ładować do wagonów. Każdy starał się ulokować blisko okna, bo ciekawi byliśmy, dokąd nas zawiozą. Nie czekaliśmy długo. Wachmani kręcący się koło wagonów zaczęli sobie dawać znaki rękoma, żeby wsiadać, po czym usłyszeliśmy doniosły gwizd lokomotywy. Szarpnęło i pociąg ruszył. Okazało się, że wyjeżdżamy w kierunku wschodnim.

Jazda nie trwała długo. Mieliśmy chyba dwa krótkie postoje, po których dociągnęliśmy do jakiejś stacji. Nazwy nie pamiętam. Człowiek zaferowany i myślący o różnych rzeczach nie jest w stanie wszystkiego zapamiętać. Po zatrzymaniu się padła komenda do wysiadania. Wysypaliśmy się i od razu ustawialiśmy swoimi grupkami. Zostaliśmy policzeni, po czym każdy wachman zebrał swoich i pomaszerowali w kolumnie do Seenwalde (Świątajno).

Po dotarciu do centrum wsi Seenwalde znaleźliśmy się na dużym placu apelowym. Stamtąd po niedługim czasie rozprowadzono nas na kwatery. W ramach tych przydziałów razem z Felkiem Adamczykiem zakwaterowani zostaliśmy w stodółce. W sąsiedku na słomie ulokowano nas dwudziestu – jeden obok drugiego. Stodółka była nieduża, o szerokości około ośmiu metrów, leżeliśmy więc jak śledzie. Przewracanie się z boku na bok mogło odbywać się tylko na komendę.

Codziennie po pracy wracając do wioski musieliśmy stawić się na placu apelowym, gdzie byliśmy liczeni. Po przeliczeniu mogliśmy się udać do swoich kwater. Bezpośrednio z placu drużyna udawała się do magazynu żywnościowego po nasz prowiant. Zasada wydawania zupy obiadowej jeszcze nie została zmieniona i dowożono nam na stanowiska pracy.

Robiło się coraz chłodniej, a nocą występowały przymrozki. My ciągle w stodołach, a rankiem mycie się przy studni. Przydzielono nam drewniaki, które nie wytrzymały obciążenia, bo nie można kopać bez deptania nogą łopaty. Nasiliła się dezercja. Ludzie zaczęli ryzykować ucieczki mimo, że groziło za to rozstrzelanie. My przebywaliśmy teraz przez cały dzień na stanowiskach pracy i zaprzestano nam dowozić zupy obiadowe. Otrzymywaliśmy ją po swoim powrocie na plac apelowy.

Po jakimś czasie wykonany został spis pracowników z podziałem na kawalerów i żonaty, co sugerowało pewne zmiany organizacyjne. Wyglądało na to, że żonaty zwolnią. Dokonali bardzo uczciwie wypłaty za pracę. Za każdy dzień otrzymaliśmy po dwie marki. Następnego ranka otrzymaliśmy nowe robocze ubrania. Szare, grube konopiane uniformy. Tak nas wyekwipowano na drogę do następnego etapu robót. Zakomunikowano nam, że przejdziemy w inne miejsce, gdzie jest jeszcze niewykończona robota i że nie będzie to długo trwało. Wprawdzie nikt w te bajania już nie wierzył, ale to nie było ważne – musieliśmy się poddać lub ryzykować ucieczkę.

Przygotowanie do wymarszu trwało kilka godzin. Nasze walizki i inne tobołki zostały załadowane na wozy konne, a uformowana z nas kolumna, na czele i z tyłu z wachmani, wyruszyła w stronę zachodnią. To był marsz otwierający kolejny etap naszej pracy przymusowej dla III Rzeszy.

Po długim marszu dotarliśmy do miejscowości Seedanzig. Była to nieduża wioska leżąca nad jeziorem, raczej bardziej rybacka niż rolnicza, oddalona od Szczytna o 6 kilometrów. Tam otrzymaliśmy wstępnie swoje kwatery, na początek na strychach szop w gospodarstwach. Po upływie 2-3 tygodni przydzielono nam kwatery zimowe w budynkach mieszkalnych. Naszym dowódcą został taki nieduży kogucik, paradujący w zielonym mundurku. Było też kilku nowych wachmanów.

Okazało się, że w wiosce wszyscy porozumiewali się w zasadzie po polsku, tylko urzędowy był niemiecki. Nie było tu prawie mężczyzn tylko kobiety i dzieci. W gospodarstwach zatrudnieni byli różni ludzie jako robotnicy przymusowi: Polacy, Litwini, a później okazało się, że i jacyś Ukraińcy. Tam, gdzie my kwatrowaliśmy w szopie, zatrudniony był Litwin. Z nim nie można było się dogadać ani w ząb. W naszym gospodarstwie mieszkała gospodyni, jej matka i dwójka dzieci. Gospodarz bawił się w wojenkę i nie widzieliśmy go. Kiedy się już zakwaterowaliśmy, matka gospodyni – starsza już kobieta – zaproponowała, że jak chcemy to może nam gotować zupę na kolację w cenie 1 marki za porcję. Oczywiście zaklepaliliśmy ofertę i zawsze po pracy czekała na nas zupa. Nie trwało to jednak długo, bo w grudniu wyjechała do Reichu.

Kiedy pierwszego dnia zostaliśmy skierowani do robót, nie byliśmy niczym nowym zaskoczeni. Powtórzyło się to samo co i poprzednio. Mieliśmy jednak takiego „unteroficera” saperskiego, z którym łatwo się było dogadać, chociaż nie mówił po polsku. Nigdy na nikogo nie warknął i zawsze był uśmiechnięty. Bardzo szybki i wszędzie zdążył oblecieć, a nie interesował się też wydajnością naszej pracy, nie popędzał nikogo.

Dni upływały coraz bardziej nerwowo, bo praca męczyła, a Niemcy nie folgowali w wymaganiach. Zimno piekielne, a my mogliśmy się rozgrzewać wyłącznie przy robocie, bo nasze ciuchy były podszyte wiatrem. Apel o zgłaszanie się do armii niemieckiej pozostał martwy. Nikt się nie kwapił do munduru Wehrmachtu. Kpiliśmy sobie po cichu. Dwukrotnie samochodem osobowym zajeżdżali na nasz teren SS-mani. Ponownie namawiali do wstępowania do armii niemieckiej w trakcie naszego apelu porannego. Jeden z nich operował tak doskonałą polszczyzną i takim akcentem poprawnym, że wzbudził szczere zdumienie wśród nas. Nigdy dotychczas nie słyszeliśmy tak pięknej polskiej mowy wygłaszanej przez „pludra”. Był to bardzo elegancki, młody SS-man. Nic to nie pomogło i nikt nie miał chęci na poprawę swojego losu.

Po Nowym Roku zaczęły się niezrozumiałe dla nas zmiany. Grupa wartowników szwendających się za nami z długą bronią znikła z pola naszego widzenia. Gdzieś ich wycofano. Zostało tylko pięciu Niemców w składzie naszej kompanii.

W dniu 19 stycznia było mroźno i słonecznie. Pracowaliśmy – jak się później okazało – ostatni dzień w Seedanzig przy kopaniu dołu pod schron. Kuliśmy zmarzłą ziemię, żeby wgrzyźć się w niższą warstwę. Tak było do godzin południowych, kiedy zniemacka dostaliśmy polecenie przerwania robót i powrotu do wioski. I to był właśnie koniec dźwigania kłoców drewna z lasu na budowę, koniec z kuciem zmarzłej ziemi. Nad naszymi głowami duży ruch samolotów niemieckich. Gdy zbieraliśmy się do wymarszu ze stanowiska, przyszedł do nas jeszcze ten Niemiec saper, tak na do widzenia i rozmawiał z jednym z naszych tłumaczy. Później Kukuś powiedział nam, że między innymi powiedział, iż to wszystko co robiliśmy „na gówno się przyda”. Zaczęły się spekulacje co mogą z nami zrobić.

Po powrocie z pracy polecono nam udać się na kwatery i nigdzie się nie kręcić. Nie mieliśmy nic więcej do obserwacji, jak podwórka i wieś. Rano jak zawsze pobudka o godzinie szóstej. Potem apel i wymarsz. Dotarliśmy do dworca kolejowego i załadowaliśmy się do pociągu w dość eleganckie wagony kolei podmiejskiej, w których wyjątkowo nie było ciasno. Nie wiem ilu nas być mogło w tej kolumnie, zapełniliśmy cały skład i pociąg ruszył w stronę Gdańska-Oliwy zatrzymując się na przystankach zgodnie z rozkładem jazdy. Jechaliśmy sobie wygodnie do stacji Oliwa, gdzie otrzymaliśmy sygnał do wysiadania. Dalej szliśmy piechotą i po jakimś czasie znaleźliśmy się na linii frontu. Były to stanowiska

obsadzone wojskiem, ale nie było prawie żadnej linii obronnej w postaci rowów strzeleckich i ewentualnych schronów.

W czasie naszego przemarszu kolumna dość dokładnie się pomieszała i dopiero na miejscu zbierały się grupy „pod swoje sztandary”. Rozprowadzono nas po lesie. Nasz szef – żołtek – rozmawiał z jakimś oficerem w okularach, który miał wielką lornetę wojskową zawieszoną na szyi. Widać było po nim duże zdenerwowanie. Ustalano w pośpiechu, rozprowadzano i niebawem mieliśmy zajęcie zgodnie z naszymi kwalifikacjami. Pracowaliśmy na pewno nie mniej jak sześć godzin. Ziemia w lesie nie była specjalnie przemarznięta i piaskowa. Robota posuwała się do przodu i panowała względna cisza, przerywana pojedynczymi wystrzałami. Wojskowi po wytyczeniu odcinków przestali się już nami interesować, bo my sami wiedzieliśmy jakie są standardowe wymiary rowów. Nie mieliśmy ustalonej żadnej normy. Wyznaczając grupę ustawiali tak, żeby jeden drugiemu nie przeszkadzał i to wszystko. Ciągnęliśmy swoją robotę do zmroku, a następnie na sygnał zebraliśmy się i przygotowano nas do wymarszu. Potem ruszyliśmy w drogę powrotną do pociągu. Całość ruszyła do przodu, skąd przed kilku godzinami przyszliśmy. Wszystko robiono dość pośpiesznie i w miarę punktualnie, bo musiało być zgrane w czasie.

Już pierwszego dnia przemarsz powrotny stał się okazją do bezpośredniego kontaktu z żołnierzami Wehrmachtu. Zarówno w bezpośredniej strefie frontowej, jak i w drodze powrotnej usiłowaliśmy coś wyprosić od wojaków i w wielu wypadkach udawało się to. Nieraz coś się wyprosiło, a nieraz dawali z własnej inicjatywy. Wpadały wtedy w ręce papierosy, jakiś bochenek chleba, jakaś puszka konserw, tubka sera itp.

Pierwszą czynnością po powrocie i po przejściu przez bramę stoczni było udanie się do kuchni, gdzie wydawano obiady. Po ceremonii wydania zupy i jej zjedzeniu miska była tradycyjnie lizana, a następnie w to samo naczynie brało się kawę. Kawa służyła do popicia suchego prowiantu otrzymywanego wieczorem, bo zaraz po powrocie grupowi udawali się do magazynu, aby go wyfasować.

Przebywaliśmy w tej stoczniowej hali coś trzy czy cztery dni i zawsze w podobny sposób wyglądała nasza doba – podzielona na pracę i pozostałe części dnia. Rano pobudka i zbiórka, następnie liczenie stanu i zawsze te sakramentalne „chorzy wystąp”. Część zweryfikowanych zostawała do lekarza, a reszta do roboty. Ja zgodnie z przyzwoleniem zgłosiłem się do ambulatorium i zostałem zweryfikowany pozytywnie. Rany na moich nogach wyglądały wstętnie. Do tego nie byłem żadnym potężnym chłopem i mogłaby mnie byle baba zabić miotłą, więc nie kwestionowano mojego zgłoszenia. W ambulatorium opatrzone zostałem maścią ichtiolową i obandażowany. Dostałem też kartkę, która była usprawiedliwieniem, ale nie zwolnieniem od pracy. Bo gdy do jakichś robót porządkowych czy innych potrzebowano na terenie obozu ludzi, to po prosu brano z miejsca, na którym przebywali. Dostawali polecenie wykonania jakiejś czynności, a następnie zwalniani byli na kwaterę. Toteż gdy otrzymałem kartkę po opatrzeniu ran czułem się w miarę bezpieczny. Na kwaterze zająłem się naprawą drewniaków, a popatrzwszy na halę zauważyłem więcej takich niedobitków.

Któregoś dnia rano na zbiórce zaskoczyło mnie zachowanie się wachmana. Mimo, że nie zgłaszałem się do ambulatorium to wachman wywołał nas, takich niedobitków, zdechlaków, mających owe kartki z ambulatorium i kazał pozostać w obozie. Powiedział, że będziemy wykonywać na miejscu jakąś pracę. Kazał czekać na wezwanie w hali. Kompania poszła do pracy, a my na swoje miejsca w hali. Początkowo to się nam ta decyzja spodobała, ale trochę później zaczęły nachodzić niespokojne myśli, że może takich niewydolnych zbiorą razem i załatwią – żeby nie karmić niepotrzebnie – i trupiarka wywiezie jak innych wywoziła. Do tych celów przecież jest używana.

Czekaliśmy w takiej nieco nerwowej atmosferze, ale jakoś nikt się do nas nie zwrócił i nic nie polecał. SS-mani również nie pojawili się tego dnia, więc panowałby błogi nastrój, gdyby nie ta niewiadoma sytuacja co dalej. Tak przetrzymaliśmy dzionek, dokąd nie zjawili się nasi z roboty. Kiedy się spotkaliśmy, usłyszeliśmy od nich nowe wieści, że strzelają coraz więcej.

Kiedy po obiedzie i podziale prowiantu dobowego znaleźliśmy się w hali pojawił się wachman i zakomunikował, żebyśmy się spakowali ze swoimi rzeczami i przygotowali do wymarszu. To ma być wykonane niezwłocznie i szybko. Nie powiedział gdzie mamy iść. Coś się tutaj zaczyna dziać. Nasze pakowanie nie trwało długo i po kwadransie byliśmy gotowi. Wyruszyliśmy zgodnie z rozkazem i maszerowaliśmy ulicami Gdańska w stronę Oliwy. Skoro nie pakują nas do pociągu to znaczy, że nasze przeniesienie się nie może być dalekie. Zresztą takie pytanie byłoby naiwne, bo i gdzie można wędrować, jak z jednej strony morze, a z drugiej front.

Człapaliśmy nie więcej jak godzinę i dociągnęliśmy do jakiegoś zabudowanego barakami terenu wyglądającego na obóz, gdzie musiało mieszkać setki i więcej ludzi. Było to na terenie obecnego Gdańska-Wrzeszcza, a wtedy był to „Langfurt”. Jednak baraki nie były zamieszkałe, a przynajmniej ich część, co stwierdziliśmy po wprowadzeniu nas na teren. Tym razem wachman powiedział prawdę, bo kiedy nas tam wprowadzono otrzymaliśmy do rozlokowania się dwa długie baraki, w których było po kilka izb kiluosobowych, a w nich po kilka łóżek dwupoziomowych pojedynczych. Każde łóżko posiadało materac z prawdziwego zdarzenia.

Noc spędziliśmy wygodnie, bo co do hałasów, strzelaniny i błysku reflektorów, to się przywykło do tego stopnia, że tutaj poczuliliśmy się nawet bezpiecznie. Wszyscy spali spokojnie. Dawno, a w zasadzie nigdy jeszcze takich wygod do spania nie mieliśmy. Zamknięte okna i drzwi powodowały wrażenie pewnego nawet komfortu i do tego było całkiem ciepło. Nasze baraki miały instalację elektryczną, ale w czasie naszego tam zamieszkiwania żadnego oświetlenia nie było. Dawno nie spało się w łózkach i tak samo dawno już nie myliśmy się w umywalni, więc poczucie tej poprawy spowodowało pewne odprężenie i chęć żeby tę wojnę przeżyć. Ostatnio wielu z nas żyło w jakimś zubożeniu i zniechęceniu.

Zaczęliśmy na nowym miejscu od poprawy naszych warunków socjalnych, pozostał natomiast stary rozkład dnia i ten sam charakter pracy. Rano zbiórka przed barakiem – bo między barakami dużo było miejsca na apele i zbiórki, następnie wymarsz na stację kolejową we Wrzeszczu, później kawałek jazdy pociągiem do Oliwy. Po wysiadce starym utartym szlakiem na znane miejsce frontowe. Teraz robiło się już coraz goręcej. Waliliśmy w tamtą stronę całą chmarą. Już nie tylko groźne pomruki i pojedyncze strzały, ale wręcz strzelanina na niektórych kierunkach. Na pozycjach w rejonie naszego odcinka robót panuje ruch i pośpiech, żołnierze pracują łopatami. Nasze grupy kierowane są do różnych robót. Kopiemy rowy łączące z innymi. Zryliśmy już kawał lasu i jego skraj – maskując świeżą ziemię. Nad głowami w czasie pracy świszczą pociski artyleryjskie dalszego zasięgu. Wtedy nie miałem jeszcze żadnego rozeznania z jakiej odległości mogły być wystrzelwane – teraz to mógłbym powiedzieć, że nie z dalszej jak 6-10 kilometrów.

Któregoś dnia w porze południowej, kiedy byłem na swoim zwolnieniu ambulatoryjnym, usłyszałem warkot i zobaczyłem kilka radzieckich samolotów zataczających koło nad naszym obozowiskiem. Za chwilę dwa z nich zniżyły się i lecąc bardzo nisko, tuż nad budynkami, siały pociskami dokładnie w naszą stronę. Po prostu syknęła się taka struga ognia. Błysnęła mi myśl, że mogę być rozerwany tymi pociskami i to spowodowało, że chciałem się schować do baraku. Zamiast wrócić jeden metr do tyłu i wpaść w otwarte drzwi – pobiegłem dziesięć metrów dalej przed siebie i dopadłem drugich. Prawie równocześnie usłyszałem z tyłu odgłos wybuchu na zewnątrz. Gdy za chwilę wyskoczyłem z baraku, zobaczyłem moje wiaderko z mięsem (pracowałem wtedy w kuchni). Stało sobie spokojnie na cegielkach i gotowało się. Przy baraku zaś stał człowiek jak w ziemię wkopany, czerwony na twarzy z przestachu i za chwilę próbował mi coś opowiedzieć pokazując na swoją skroń. Był to jeden z naszej grupy, który podobnie jak i ja korzystał z wolnego od lekarza, a był tak zdenerwowany, że nie mogłem go w pierwszej chwili zrozumieć. Wreszcie pokazując mi na skroń i powiedział, że został oparzony od wybuchu granatu rzuconego z samolotu. Nie chciało mi się wierzyć, ale sam słyszałem ten niewielki wybuch no i zobaczyliśmy ślad po nim. Pokazał mi miejsce, w którym granat eksplodował. Nie zrobił on żadnej większej szkody poza lekkim podrapaniem baraku i wystraszeniem człowieka. Ja wtedy też miałem szczęście, bo gdyby ten strumień pocisków z samolotu poszedł trzy czy cztery metry bardziej w lewo, to by mnie posiekał na kawałki.

Wieczorem po powrocie koledzy opowiadali swoje wrażenia, z których rodziły się najgorsze obawy o nasz dalszy los. Pozycje, na których teraz pracowano były już pod ostrzałem. Nie był intensywny, ale nękający i powodujący zarówno strach, jak i wymierne straty w ludziach. Byli już zabici i ranni. My, którzy pełniliśmy tu w obozie swoje „staże” chorobowe, nie mieliśmy chęci chodzić tam do pracy, ale nie można było budzić licha i podkładać się zbytnio. Następnego dnia i przez kilka kolejnych chodziłem do pracy z innymi nie podpadając.

Po sygnale kończącym pracę zbieraliśmy się na niedużej polanie, gdzie Niemcy zbudowali sobie taki doraźny schron, bo widzieliśmy jak sztabowcy wchodzili tam i wychodzili. Kiedyś, gdy byliśmy tam już zgromadzeni, nadleciały samoloty radzieckie, zatoczyły koło nad lasem, zniżyły się i zaczęły ostrzał z broni maszynowej. Skoczyliśmy za drzewa, a nasz szef – żółtek dał drapaka do tego schronu ziemnego. Samoloty zrobiły nawrót i ponownie ostrzelały polanę. Byliśmy poukrywani za drzewami, bo nie było czasu na szukanie okopu. Gdy odleciały i przez chwilę uciszyło się, wówczas żółtek wychylił się ze schronu i spojrzął na niebo, a następnie szpetnie zaklął. Był aż czerwony na twarzy ze strachu przed „Iwanem”.

Po tym incydencie nastąpiła zbiórka i niezwłoczny wymarsz powrotny do Oliwy. Dzień obfitował jednak w dalsze niespodzianki. Gdy zbliżaliśmy się do stacji w Oliwie nadleciało kilka samolotów radzieckich i zaczęło się piekło na ziemi. Strzelanina to nic przy bombardowaniu. Nieliczni Niemcy, którzy nam towarzyszyli, momentalnie opuścili nas i zbiegli do schronów oznakowanych napisami na ścianach budynków miejskich. My zostaliśmy jak stado mrówek w rozdeptanym mrowisku. Tłum rozleciał się na wszystkie strony, ale nie było się gdzie ukryć. Było to akurat wtedy, gdy byliśmy blisko dworca kolejowego. Szukaliśmy jakichś dziur w ziemi, kiedy tuż obok nas rozbłyskiwały jęzory ognia i sypały się mury łączące czerwone płomienie z czerwonym kurzem. Staralem się znaleźć jakiegokolwiek zagłębienie i kiedy ruszyłem biegiem w stronę dworca zobaczyłem przez krótką chwilę niemiecki samolot ścigany przez radziecki. Migawka ta trwała nie dłużej niż trzy sekundy i dalszą sytuację zasłoniły zabudowania.

Piekło trwało kilka minut, może nawet mniej niż dziesięć, ale wydawało się, że znacznie dłużej. Ostatecznie wyładowałem na torach pod wagonem, gdzie nic mi się nie stało poza dodatkowym ubrudzeniem brudnych ciuchów. Kiedy się wreszcie uspokoiło i syreny odwołały alarm, wszyscy bardziej i mniej wystraszeni zbierali się przy wagonach. Zjawili się i nasi opiekunowie, ale nie było żadnych komentarzy, popędzali tylko, żeby szybko się ładować do wagonów. Stacji i torów nie atakowano, więc dojechaliśmy do Wrzeszcza. Krótki przemarsz na kwatery i na kuchnię po obiad.

Gdy tego dnia zjawiliśmy się po swój posiłek, ze zdziwieniem zobaczyłem czekających z menażkami młodych żołnierzyków niemieckich. I co najdziwniejsze – byli to naprawdę bardzo młodzi chłopcy. Wtedy oceniłem, że musieli być młodsi ode mnie. Nie omyliłem się, bo jak się nasi dowiedzieli był to rocznik 1929, czyli chłopaczki, którzy się jeszcze nie golili. O rany – co się robi?! Po obiedzie i podzieleniu prowiantu nie chciało się nawet iść spać, tylko sterczeliliśmy przed barakami i obserwowaliśmy nasilające się ataki bombowe na miasto.

Następnego dnia po wyładunku z pociągu zauważyliśmy, że zawitały tu nocą radzieckie czołgi, bo tylko one mogły pozostawić takie ślady. Najwidoczniej wtargnął tu jakiś oddział rozpoznania, bo ogródki w wielu miejscach były zdewastowane, krawężniki powyłamywane i połupane chodniki.

Kopaliśmy rów na skraju lasu, ale jeszcze na trenie zalesionym. Rowów było tu już dostatek. Zwróciliśmy uwagę, że w pobliżu znajduje się gospodarstwo jeszcze nie opuszczone. Widocznie właściciele zdecydowali się pozostać tu mimo ostrzału. W czasie pracy zaintrygowały mnie stojące po zachodniej stronie zabudowań gospodarczych kopki jakby słomy. Zastanawiałem się co tu może robić o tej porze roku słoma. Następnie zobaczyłem na podwórku kobietę, co chyba mogło znaczyć, że Niemcy nie wysiedlili ludzi stamtąd na siłę. Gospodarstwo było usytuowane w takim jakby prostokącie, gdzie z dwóch stron w pewnej odległości od wschodu i od północy ciągnęła się ściana lasu. Dotychczas nie było tu nic zniszczone mimo toczących się wkoło walk i tej całej strzelaniny. Zajęci pracą, której oddawaliśmy się bardzo leniwie, wymienialiśmy uwagi na temat tego co może niedługo pozostać z tego gospodarstwa i jego mieszkańców. Nie mogłem jednak znaleźć odpowiedzi na pytanie, co robią tam te kopki słomy.

Nie była to przecież pora żniw. Po jakimś czasie sytuacja sama się wyjaśniła. W pewnym momencie zauważyłem, że spod tych kopek wypadają żołnierze i biegiem pokonują kilkadziesiąt metrów do tyłu w stronę gospodarstwa, po czym chowają się w wykopie. Po chwili rozległ się niesamowity dźwięk – tak jakby razem wzięte: ryk, zgrzyt, huk i straszne wycie. Niby gigantyczny zgrzyt żelaza po szkłe. Takiego przejmującego hałasu i wycia nigdy w swoim życiu nie słyszałem. Jednocześnie spod tych niby kup słomy wystrzeliły torem jak startujące odrzutowce dość duże pociski raketowe, zostawiając za sobą olbrzymie ogony ognia.

Wystraszyliśmy się niesamowicie. Żaden z nas tam będących nie miał zielonego pojęcia o broni raketowej, o jakichś moździerzach kilkulufowych, jakie już były na uzbrojeniu Wehrmachtu. A to była właśnie broń z rodziny raketowej. Wyjaśniła się sprawa co znaczą te niby kopki słomy, tylko dlaczego to wszystko co maskowało tę broń nie spłonęło po takiej salwie? Jak dowiedzieliśmy się co to takiego to zaraz uodporniliśmy się na następne salwy, a tego dnia były chyba jeszcze dwie czy trzy. Wojna to wojna, każdy strzela z tego co ma. Rakiety w czasie ich odpalania zagłuszały wszystkie huki i wybuchy oraz inne odgłosy frontu na naszym odcinku. Widać było te mknące pociski jak wielkie kluchy i warkocze ognia ciągnące się za nimi z tyłu niby ogon komety.

Następnego dnia zgłosiłem się do ambulatorium i pozostałem w obozie. Słońce tego dnia grzało przyzwoicie. Rano zobaczyłem naszego starego wachmana – tego, który zazwyczaj chodził w żółtym, wełnianym płaszczu, a że słońce zaczęło operować, to ubrał się w taki jakiś czarny ceratowy. Któryś z naszych zażartował, że ubrał się jak na własny pogrzeb. I tak się też stało. Gdy byli na naszym odcinku, to nie wiadomo skąd trafił go jakiś odłamek i to tak nieszczęśliwie, że został zabity na miejscu.

Tego samego dnia także i nasz szef – ten żółtek, został bardzo ciężko ranny. Podobno był w pobliżu wykopu robionego przez naszą grupę, w którym miano wykonać jakiś schron przy gnieździe kaemu. Kiedy zaczął się ostrzał artyleryjski będący tam żołnierz wskoczył do wykopu obok robotników, a żółtek, który był blisko nich zaczął się śmiać, że boi się Iwana. Po jakimś czasie spadł pocisk blisko za wykopem i chłopakom o mało nie urwało głów. Wtedy to trafiło w naszego szefa. Żółtek stracił nogę i do tego jeszcze był trafiony odłamkami. Nikogo więcej w pobliżu nie było. Zrobił się krzyk i wkrótce sanitariusze niemieccy zabrali go. Zostaliśmy z połową nadzoru, lecz trwało to krótko. Ale nie tylko Niemcy tego dnia zostali wyeliminowani z naszej kompanii. Zginął też jeden Białorusin. Nazywaliśmy go Staryk. Był rzeczywiście już dość stary jak na te sprawy, które przeżywaliśmy. Podobno został bardzo pocięty odłamkami pocisku artyleryjskiego. Był jeszcze przytomny i wołał do św. Józefa, żeby go dobił. Zabrali go też niemieccy sanitariusze i widocznie się tam u nich skończył. Z takich, których znałem z nazwiska, to jeszcze Józef Bucholski, ranny na przedpolu, gdy już uciekał przed ostrzałem artyleryjskim. Po rozerwaniu się pocisku miał poważne rany boku i nogi. Józek został opatrzony przez wojskowego sanitariusza i po powrocie pozostał w baraku.

Po tych smutnych wypadkach z naszymi kolegami widać było idący już czas, kiedy zostanie postawiona kropka nad i. Coś nie tylko drgnęło, ale wstrząsnęło kompanią. Przede wszystkim zrobiona została lista płacy, a przy okazji zostali spisani wszyscy, którzy jeszcze stanowili skład kompanii. Dokonano zaległej wypłaty. Nie pamiętam po ile wtedy dostaliśmy. Chyba to było w tym ostatnim dniu, w którym zakończyliśmy swą pracę przymusową dla Rzeszy Niemieckiej. Przynajmniej ja, bo wielu innych było jeszcze przez jakiś czas wykorzystywanych. Jednak na front już nas nie poprowadzono jako kompanii. Piątek był tym ostatnim dniem.

Rano jak zwykle pobudka i apel. Tego dnia nie było jak zazwyczaj – chorzy wystąp, za to odbyła się weryfikacja. Byliśmy ustawieni jak zwykle. Wtedy wybrali z całego stanu tylko takich, którzy na pierwszy rzut oka wydawali się zdrowi i mogli jeszcze pracować. Najstarszych, różnych chudzielców i takich gołowąsów jak ja – odrzucono. Wybrani zostali wywołani na drugą stronę. Kiedy stanęliśmy do siebie frontem ogłoszono nam, że wszyscy uznani za zdrowych i silnych przejdą do pracy w innym miejscu, a pozostali to już ich nie interesują.

Oczywiście taki herkules, jakim wtedy byłem, nie został zakwalifikowany do dalszej służby i był – jak sobie wtedy ubzduraliśmy – zweryfikowany z przeznaczeniem do likwidacji. Wybrani do dalszego wspomaganie Wehrmachtu zostali rozpuszczeni po swoje bagaże i niebawem mieli się zebrać do wymarszu. Wśród nich znajdował się Bolek Perłowski z Sadowa. Był to ostatni mój najbliższy sąsiad i ten, z którym w sierpniową niedzielę opuściłem naszą gminę i dotelepałem się żelazniakiem do Mławy.

Pozostało jeszcze bez odpowiedzi pytanie, co będzie z tymi niedobitkami, których nie potrzebują Niemcy. Spodziewaliśmy się najgorszego. Nie pamiętam dokładnie jak się odbyło nasze pożegnanie z kolegami, bo wkrótce zostaliśmy sami. Po rozejściu się nikt nas nie niepokoił, mogliśmy robić co się nam podoba. Polecenie było iść do baraków i nie szwendać się. Jednak nie używano już ostrzeżenia w dawnym stylu, że będą strzelać do każdego, kto się oddali.

Wszędzie w barakach znajdowali się ludzie w mniejszych lub większych grupach. W naszym zostało nas może piętnastu. Nie zważając na nic co może się stać powędrowałem z jednym kumplem do dzielnicy mieszkalnej, bliżej torów kolejowych. Nawet były otwarte jakieś sklepy, a my mieliśmy pieniądze. Ulice były już zaniedbane. Gdy tak sobie szliśmy spotkaliśmy na ulicy maszerujących żołnierzy. Szli śpiewając piosenkę – głośno, wyraźnie, ale tak jakoś beznamiętnie.

W sklepie dostaliśmy tylko soli, natomiast do jedzenia oczywiście nic nie było bez kartek. Tu i ówdzie ktoś przemknął ulicą, jakaś kobieta, bo chłopca ani na lekarstwo. Nie było na co wydać pieniędzy. Wróciliśmy do obozu i nikt nas nie zaczepił, ani nikt się nami nie zainteresował. Nadeszła noc, w czasie której trwała regularna strzelanina. Naloty, całe miasto w ogniu i dymie. Całe niebo zarzucone gradem pocisków różnego kalibru. Widok niezapomniany – światła, woń spalenizny i dymów łączy się z zapachem materiałów wybuchowych i przesiąka całą atmosferę, czyniąc z niej mieszaninę trudną do oddychania.

Mimo całej grozy sytuacji w środku tego ognia, idziemy wreszcie spać do swojego baraku i do swojego łóżka. W każdej chwili mogło się wydarzyć wszystko co była w stanie zrodzić nasza wyobraźnia. Ale jeszcze żyliśmy i nikt nam niczym nie groził, a wręcz odwrotnie – teraz przestaliśmy kogokolwiek obchodzić. Aby tak dalej. Wśród nas – tych wybrakowanych – byli przeważnie wyrostki, starszych niewiele i wszyscy pragnęliśmy mieć to za sobą.

Zastanawiałem się wtedy, co się dzieje z moją rodziną. Czy też tak samo myślą jak i ja? A może już nie żyją? Ja tutaj, matka w więzieniu w Fordonie, ojciec chory w Warszawie, tam też i siostry. Bracia w Zielonej. Może tam jest najspokojniej? Wojna przetacza się przez Polskę. Przez te wszystkie tereny na których rozproszona jest moja rodzina. Człowiek zadaje sobie tysiące pytań zamiast się wyspać. Ale jak tu spać, kiedy przychodzą do głowy różne myśli. Na przykład – czy zdążę się przed śmiercią jeszcze najeść jak przystało i wykąpać w ciepłej wodzie? A nawet czy pospaceruję sobie czysto ubrany w świąteczne popołudnie? Myślę, że wiele z podobnych pytań nachodziło tak samo i innych, bo niezależnie jaki ma kto charakter i jak przeżywa swoją dolę, to musi mu się nasuwać coś na myśl, co go absorbuje, weseli, smuci bądź każe wszystko lekceważyć i nie przejmować się niczym. Tak wtedy myślałem, a gdy spojrzałem na łóżko Józka, na którym cierpiał i milczał, to uświadomiłem sobie, że są ode mnie bardziej nieszczęśliwi. Bo przecież to co mnie trapi, to trapi także i jego, a ponadto jest jeszcze ranny, niesprawny, cierpi i jeżeli nie będzie miał pomocy lekarskiej, to może się wykończyć. A teraz to nawet ta prowizoryczna pomoc ambulatoryjna skończyła się. Co będzie jutro? Co stanie się w nocy, jak będziemy spali?

Było nas jeszcze mniej niż po wyselekcjonowaniu, bo kiedy nastąpiło bezkrólewie niektórzy się porozłazili. Ja osobiście uważałem się wtedy już za dorosłego, moje szesnaście lat zebrało tyle doświadczeń, że tylko nie dorównywałem tym naprawdę dorosłym masą ciała i wzrostem. Lata wojny, przeżycia, ciężka praca, odpowiedzialność za swoje postępowanie – znacznie przyspieszyły moje dojrzewanie. W tych ekstremalnych warunkach, w jakich przyszło mi przebywać, moja mentalność kształtowała się zupełnie inaczej niż u dzisiejszych nastolatków.

Następny dzień przyniósł dalszy ciąg niespodzianek i nową jakość naszego statusu „zbędnych”, jaki mamy od wczoraj. Rano nie zrywaliśmy się na sygnał, ale każdy jak chciał. Obudziliśmy się w całkiem względnej ciszy. Rzadko odzywały się pojedyncze strzały. Ci, którzy jeszcze wczoraj dyrygowali i selekcjonowali naszą przydatność, znikli zupełnie z horyzontu. Powstała nowa sytuacja. Poza wojskiem, którego akurat blisko nas nie było, to różni inni Niemcy, wszelki nadzór nad robotnikami i może jakieś służby administracji wewnętrznej obozu gdzieś się ulotniły. Pokój naszych wachmanów był opuszczony. Zostawili w nim spory zapas kawy zbożowej – parę skrzynek, trzy karabiny i sporo amunicji, trochę jakiejś pościeli i parę koców. Skoro nie było właścicieli, co sprytniejsi zaopiekowali się tym co zostało, z wyjątkiem karabinów – z wiadomego powodu.

Okazało się, że jesteśmy wolni w niewoli. Wciągu całego dnia mimo niebezpieczeństwa kręciliśmy się. Przeważnie przebywało się w baraku – zawsze to ściany, chociaż drewniane i cienkie to przed drobnymi odłamkami trochę też chronią. Do ciekawostek należy takie zjawisko, że można mieć w wielu miejscach poprzecinane ubranie, a nie doznać żadnej rany. Na przykład nasz grupowy Stasio miał pocięte ciuchy na sobie i nawet czapkę. Aż nie do wiary, że nie przedziurawił go żaden odłamek. Takie szczęście w nieszczęściu.

Przetrwaliśmy kolejny dzień, nadchodził wieczór, jedzenia nie ma i nie dostaniemy dzisiaj nic. Jakieś resztki ochłapów i skórek. Gotowanie się skończyło z powodu ostrzału, jeszcze tylko jest woda. Wieczór rozpoczyna się grą świateł, co dzień intensywniej. Artyleria plot. sieje pociskami świetlnymi jak grochem, niebo pokrywa się tysiącami lamp fosforowych, strzały, wybuchy, światła reflektorów, a także ognie pożarów. Tego dnia i wieczorem zwiększyła się intensywność ognia spadających pocisków na nasz teren. Najwidoczniej bezpośrednio starcia znacznie się do nas zbliżyły. Jest coraz niebezpieczniej i trzeba rozważyć przeniesienie się do okopu – schronu przy naszym baraku. Radzimy się co robić. Trudno – praktyczniej jest spróbować przetrwać w tym śmierdzącym schronie niż wystawiać się ewidentnie na spotkanie ze św. Piotrem. Józek nie chciał opuścić baraku i na razie pozostał. Zaryzykowaliśmy kilku z Józkiem, ale część się przeniosła do tego okopo-schronu. Znalazło się też zabezpieczenie doraźne – kilka kołder z waty. Podobno odłamki nie przechodzą przez watę, więc owinięci przetrwalimy tę noc szczęśliwie.

Przeżyta noc i głodny dzień. Tak się zapowiadał poniedziałek, ale nie tylko. Nie było co jeść naprawdę, a i z wodą mogło się skończyć. Były naczynia, więc zrobiliśmy zapasy na czarną godzinę. Przez poprzedni dzień trwały walki, zatem spodziewaliśmy się jakiegoś luzu porannego. Zamierzaliśmy zakręcić się w najbliższym otoczeniu, bo może uda się zdobyć coś do zjedzenia, może jakie dobre wieści. Jednak przeliczyliśmy się. Strzelanina trwała już w czasie, kiedy się zbudziliśmy i wciąż była intensywna. Ostrzał powodował nieznaną nam dotychczas piekło w całej okolicy. Kto rozsądny ten nie miał wątpliwości, że należy się wynosić do pewniejszego miejsca osłony niż barak. Wykluczone było jakieś szwendanie się pomiędzy barakami czy gdziekolwiek, bo zarówno odłamki jak i pociski z broni ręcznej i maszynowej tak hulały, że trzeba było być samobójcą aby pozwolić sobie na wystawianie głowy na zewnątrz. „Chłopaki, wiejemy do schronu” – zawołał któryś. Zebraliśmy swoje węzłki, na czworakach i chyłkiem te kilkanaście metrów przemierzaliśmy do zejścia. Józek i tym razem odmówił wyjścia z baraku. Uparł się że pozostanie jeszcze. Nikt nie miał prawa go zmuszać.

Minęło południe, a o jedzeniu się nie myślało. Te pociski, które spadały wkoło nas były z pewnością zabłąkane, przypadkowe. Dudniło nieustannie, ciągly grzmoty. Naraz ktoś krzyknął od wejścia – „baraki się palą”. Ogień się rozprzestrzeniał, jęzory strzelały w niebo, a tego pożaru nikt nie gasił. W tych warunkach nie było zresztą takiej możliwości. Serce zamarło mi z przerażenia. Józek! Józek jest w baraku! Wiedzieli o nim tylko niektórzy. Ruszyliśmy z jednym kolegą w stronę wyjścia, aby Interweniować. Jednak zanim się dopchaliśmy – bo tłok był niesamowity i trzeba było przechodzić po innych – to Józek już był w schronie. Sam się przyczołgał jakoś na czworakach. Dał radę resztkami sił, bo było to tylko kilkanaście metrów. Gdybyśmy się nie ruszyli i gdyby się stało to najgorsze, to do końca życia miałbym go na swoim sumieniu. A decyzja nie była łatwa, bo gdybyśmy nawet wyszli chyłkiem, to mogłoby nas coś zmieść. W pośpiechu często robi się kardynalne błędy. A tu było strasznie – kilkanaście metrów od gigantycznego pożaru. Kto nie widział pożaru suchych baraków, takiego dużego zgrupowania, jakie płomienie strzelają w niebo, to trudno mu sobie taki obraz wyobrazić.

Żywiół wojny i tego zniszczenia towarzyszącego strzałom, wybuchom i sztuczному oświetleniu nad naszym „okopo-schronem” przerażał swoimi rozmiarami. Drewniane baraki płonęły jak zapalki, ogień jęzorami strzelał w górę, fruwały jakieś kawały papy czy czegoś innego, wszystko rwało do góry razem z płomieniami. Musiały też być gdzieś jakieś materiały wybuchowe, bo dodatkowo zdarzała się kanonada. Niektórzy bardziej ciekawi próbowali przysunąć się bliżej do drzwi i nawet powstały z tego tytułu jakieś starcia i wiązanki. My nie wracaliśmy na swoje miejsca zajęte natychmiast przez innych i gnietliśmy się bliżej wyjścia. Otwarte drzwi do naszej śmierdzącej nory pozwalały tym znajdującym się bliżej więcej zobaczyć. Pożar trwał przez kilka godzin i rozsiewał intensywny swąd spalenizny, który mieszał się z różnymi innymi zapachami.

Kiedy ogień strawił drewno i inne palne materiały pozostały tylko kikuty instalacji wodociągowej w barakach, spalone umywalki i armatura. Ale ten widok pojawił się nam dopiero nazajutrz – we wtorek 27 marca, kiedy już przetoczył się ponad nami ten piekielny wał ognia i walki przeniosły się na tereny starego miasta Gdańska. Nie wiedzieliśmy nawet, że takich kretów jak my wtedy, było w okolicy tysiące. Siedzieli w różnych schronach i zakamarkach, jakichś dziurach, gdzie mogli się jakoś ukryć.

Niemcy ratowali swoje tyłki, zostawili nas i czuliśmy, że to ostatnie godziny, ale jeszcze kotłowało się wkoło i w każdej chwili w nasze gniazdo mógł trafić jakiś zbłąkany pocisk. Wtedy nie było, karetki, szpitala czy pogotowia.

W pewnym momencie do naszego schronu zajrzała jakaś grupka żołnierzy Wehrmachtu. Zapytali kto tu jest i zaświecili latarką, a zobaczywszy to nasze kłębowisko – nie myśleli zagrzewać miejsca. Nawet podzielili się papierosami z jakimiś palaczami, którzy nie omieszkali wykorzystać sytuacji i poprosić o cygarety. Trochę rozmawiali, po czym oddalili się.

Towarzystwo w schronie kimało jeden na drugim w tym zaduchu, a zwłaszcza ci, którzy będąc głębiej niczego nie mogli zobaczyć i nawet może nie chcieli. Co jakiś czas słyszało się zarówno modły, jak i przekleństwa. Nikt nikomu się nie dziwił, nie pouczał i nie zwracał uwagi na czyjeś zachowanie. Czas mijał. Ja wtedy byłem wyspany po ostatnich dniach spędzonych w baraku. Nie mogłem się nawet zmusić do spania, więc mając w myśli różne obawy trochę tak w półśnie medytowałem. Po pewnym czasie usłyszeliśmy nad sobą warkot silników. Nasi „zwiadowcy” koczujący przy samym wejściu ustalili wkrótce i podali szeptem, że na drodze przy naszym schronie zatrzymały się dwa czołgi niemieckie. Nadciągnęły drogą od strony morza i za chwilę przemieściły się na drugą stronę, obok cementarza. W mroku nie było dokładnie widać – podobno były oddalone od siebie o jakieś dwadzieścia metrów i stanąwszy w poprzek drogi skierowały się lufami czyli przodem w stronę Oliwy. Z takiej pozycji oddały kilka strzałów, a następnie ruszyły w kierunku lotniska. Z naszego schronu do szosy, na której zatrzymały się te czołgi, było tylko kilkanaście metrów i ci przy wyjściu wszystko nam przekazywali. W krótkim czasie po odjeździe niemieckich czołgów rozpetęła się strzelanina. Trwało to dość długo.

Co do warunków higienicznych i sanitarnych, to nie chciałbym się na ten temat rozwodzić. Szczególnie, że prawie nie jedząc chodziliśmy za swoją potrzebą raz na kilka dni. Gdyby ktoś jednak musiał wyjść to mógłby się tylko wtedy wyczołgać i to niedaleko wyjścia. Natomiast popularne siu siu – niewątpliwie robiono w piasek pod siebie. Byli tam tacy, którzy zdecydowali się wcześniej na schron – natomiast ja i kilku innych dopiero w ostatniej chwili, więc sprawy te nie były dla nas takie gorące.

Chyba już grubo po północy strzelanina przedała i wtedy pokonał nas sen. Zmęczenie wzięło górę nad strachem i różnymi spekulacjami. Gdy zaczęło świtać panowała wszędzie cisza. Nie było słychać żadnych strzałów. W naszym „mrowisku” zaczął się ruch. Naraz usłyszeliśmy jakieś głosy i rozmowę – ktoś z bliższych wejścia krzyknął – „Ludzie, to ruscy!” Okrzyk ten podzielał jak granat i wszyscy zaczęli się wdrapywać do wyjścia. Rzeczywiście byli to żołnierze radzieccy. Kiedy się wydostałem dwóch stało przy wejściu. Byli to czołgiści, bo mieli hełmofony na głowach. Ale żadnego czołgu przy nas nie było. Pytali kto my jesteśmy, a gdy dowiedzieli się, że Polacy to pytali – „a germańców niet?” „Niet, niet!” – krzyczeliśmy jeden przez drugiego. Wtedy kazali nam szybko uchodzić „w zad”, bo „siejczas budżiet zdzieś boj”.

Widok, który się nam ukazał kiedy zrobiło się jasno był żalony, niepodobny do tego sprzed dwóch dni. Z różnych stron, z zakamarków, okopów, schronów, licho wie z jakich dziur wydostawali się ludzie, jakby rodziła ich ziemia. Trudno uwierzyć, że tylu żywych pozostało po tej piekielnej strzelaninie i pożarach, że jest taka armia ludzi. Każdy miał cały swój majątek na sobie i byliśmy gotowi do wymarszu, aby jak najdalej od frontu i całej tej strzelaniny. Dopiero wtedy, w świetle dnia, mogliśmy objąć okiem całe pogorzelsko. Zburzone budynki, spalone baraki, kikuty, zgłiszcza, jeszcze tu i ówdzie żarzące się i tłące. Nie było jednak dużo czasu na rozpamiętywanie tego co tu zostało, trzeba było się zbierać.

Pojedynczo i grupkami ruszał wyzwolony lud, ciesząc się z odzyskanej wolności, pragnąc jak najprędzej dotrzeć do celu, zobaczyć swoich najbliższych, swoje strony, do których tęsknił. Nieraz nie miał nadziei, że to kiedykolwiek nastąpi. Wiedzieliśmy jedno na pewno, że za nami jest jeszcze wojna, że jeszcze giną ludzie, że tam gdzie trwają walki – tam jest jeszcze wielu naszych kolegów. Walki trwają w śródmieściu Gdańska, a my sznureczkiem zmierzamy w stronę, gdzie zdaje się nam, że iść trzeba. Przechodząc przez miejscowości zabudowane widzimy w domach okna bez szyb, a nawet bez ram – masowo wiszące białe płótna na różnych tyczkach i na balkonach. Ogródki rozjeżdżone czołgami – zdewastowane i połamane drzewa. Wszędzie leje po pociskach – płytsze i głębsze. Drogi bardzo zdewastowane i nigdzie nie ma nic nienaruszonego.

Wystartowaliśmy z miejsca swoją zwartą czteroosobową grupą. Pasowaliśmy do siebie i ostatnio od dłuższego czasu zawsze trzymaliśmy się razem. Józka Bucholskiego mieli zabrać sanitariusze wojskowi – został na razie w schronie. Ja osobiście wcześniej nie znałem go i nawet nie wiem, z jakiej gminy pochodził, bo zetknąłem się z nim bliżej dopiero w Gdańsku.

Wielobarwna wstęga najróżniejszych postaci, w tym najwięcej Polaków, ale także przedstawiciele innych narodowości. Były więc różne grupy i grupki, a także pojedynczo wędrujący. Ludzie gdy się przyjaźnią to i później też towarzyszą sobie. Gdy znamy się jako tako, to zawsze jest różniej i bezpieczniej. Nasz cel polegał na odbiciu się od rejonu walk i dojściu w kierunku zachodnim do jakiegoś miasta, a stamtąd jakimś środkiem lokomocji dotarciu do domów. Chłopaki, poza mną, byli z okolicy Ostrołęki – z niedalekich od Mławy stron. Co innego było rozsądnie myśleć, a co innego zrealizować taki plan bezbłędnie. Gnani tak początkowo w tłumie z innymi wędrowaliśmy nieświadomie po zapleczu frontu, pchając się na północ – czyli tam, gdzie nie powinniśmy. Ale to dopiero wyszło, kiedy znaleźliśmy się w Kartuzach po czterech dniach, zamiast trafić tam na drugi dzień. Wtedy ani mapy ani znajomości terenu nie mieliśmy.

Kiedy ruszyliśmy w drogę, po kilkunastu minutach zaczęliśmy rozglądać się za jedzeniem. Jakoś nie nie wpadało w oczy – wolne i szczęśliwe nasze życie przed nami. Oddychało się pełną piersią, ale wciąż na głodniaka. Pełnia szczęścia może nastąpić po napełnieniu żołądka, a tu nic się nie nadarza, żadnego żarcia ani śladu jakiegokolwiek możliwości. Wszędzie zgłiszcza, spalone, rozbite, zniszczone, poryte gąsienicami czołgów. Nagle dojrzałem na dużej łączce pod drzewem stojącą kuchnię polową, a przy niej jakiegoś wojaka. Nie namyślając się ruszyliśmy do niego i prosto z mostu bez ogródek – „Towarzysz, daj pokuszać niemnożko”. Był to już starszy wiekiem żołdat, widocznie o dobrym sercu, bo zajrzał do kotła, pomieszał i zaczął nas obdzielać solidnymi kawałkami wieprzowego mięsa. Rzuciliśmy się do niego jak zgłodniałe wilki. Mieliśmy na początek chleb i mięso. Wielu innych zobaczywszy z drogi co się dzieje rzuciło się również do niego, ale on widocznie miał jedzenie dla swoich, więc wkrótce kociołek zamknął.

Posiłek był dość obfity. Spałaszowaliśmy ze smakiem prawie wszystko. Zawsze jednak jakaś siła nakazywała, żeby kawałeczek schować na później. Na wojnie bywa różnie – raz jest za dużo, a innym razem się głoduje. Później w swojej wędrówce spotykaliśmy pod gołym niebem w szczerym polu wybudowane piece do pieczenia chleba. Były to „trzony”, na których wypalano cegły, a później – po usunięciu węgla drzewnych – i oczyszczeniu trzonu kładziono na nim wyrobione ciasto i chlebek się wypiekał. Musiały być kłopoty z zaopatrzeniem skoro takim sposobem wojsko musiało sobie radzić.

Kiedy wyszliśmy na obszary niezabudowane, na otwartych przestrzeniach objawił się nam niesamowity widok pola walki. Nie mieliśmy jeszcze okazji oglądać takiego pobojuwiska. Tu niedawno musiała się odbyć mordercza walka z użyciem czołgów. Na olbrzymim obszarze jak okiem sięgnąć nie było kawałka ziemi nie zrytej gąsienicami. Na całym tym terenie stały zniszczone, spalone lub unieruchomione radzieckie czołgi. Co ciekawe – nie widzieliśmy żadnych niemieckich. Tak wyglądało, jakby to był cmentarz tych stalowych maszyn. Czyżby to te niemieckie panzerfausty narobiły takiej masakry?

Idąc staraliśmy się wtedy – zwłaszcza pierwszego dnia – trzymać drogi, a zrobiło się z czasem luźno. Zrobiliśmy jakieś niesamowite półkole zanim dostaliśmy się do Kartuz. Prawdę mówiąc szliśmy byle jak najdalej od Gdańska, ale nie tak jakby należało. Znaleźliśmy się na dawnych terenach Polski. Na drogach zobaczyliśmy popularne radzieckie ZIS-5, a także amerykańskie Sztudebakery. Wszystko wojskowe. Przechodząc przez jakąś małą miejscowość ujrzeliśmy nadchodzących z przeciwka dwóch wojskowych. Mieli u boku duże kabury z naganami. Rozmawiali ze sobą i gdy się do nas zbliżali, to już z pewnej odległości usłyszałem jak jeden zwrócił się do drugiego – „sprasuj”. Kiedy podeszli do nas, jeden z nich spytał – „Od kuda wy?” Na to my z pełnym zaufaniem powiedzieliśmy: „My rabotali w Germanii, a siejczas idziom damoj”. Staraliśmy się mówić po rosyjsku. Padło następne pytanie: „A z jakoj wy obłości?” „My z Warszawy” – odpowiedzieliśmy. To ich jakby zdziwiło. I znów jeden spytał – „A od kuda wy charoszo gawaricie pa ruski?” Powiedzieliśmy, że pracowaliśmy w Niemczech, gdzie na przymusowych robotach było też wielu ruskich, stąd nasza znajomość języka. W międzyczasie coś do siebie mówili i słyszałem, że używali kilkakrotnie słowa malczyki.

Takich pytań – „od kuda wy?” mieliśmy bardzo dużo po drodze. W niektórych miejscach drogi były całkiem zniszczone i leżało w rowach wiele wozów zaprzęgowych. Było też wiele różnego sprzętu walającego się przy tych drogach i w tych porozbijanych wozach. Do niektórych spróbowaliśmy zajrzeć choć były to już splądrowane przez żołdaków. Jednak trochę rzeczy było do wybrania i wymiany tych, które mieliśmy na sobie. Były ubrania, jakieś mundury, bielizna, obuwie. Nasze rozwalające się chodaki zostały wymienione na lepsze, także i trochę bielizny na plecy, żeby już pożegnać się definitywnie z tym co mieliśmy na sobie. Wzięliśmy tylko to, co nam było potrzebne, reszta została na drodze.

Po południu – tak już przed wieczorem, przechodząc obok niedużego zagajnika zobaczyliśmy dwie baterie katusz ustawionych obok siebie nie dalej niż dwadzieścia metrów od drogi. To była broń, o której już słyszeliśmy. Podobno Niemcy bali się jej bardzo. Katusze widzieliśmy po raz pierwszy w życiu. Jak to jest, że pociski lecą, skoro nie ma żadnej lufy? Widać było te pociski poustawiane pod szynami i na szynach. Zdaje mi się, że na jednym samochodzie było tych szyn osiem i miały załadowanych po szesnaście pocisków. Wtedy żaden z nas nie miał zielonego pojęcia o artylerii poza tym, że wiedziałem jak to wygląda i do czego służy, ale o jakichś rodzajach i technice ani w ząb. A tu stoją sobie takie dwie maszyny do strzelania i można zobaczyć je z małej odległości. Przeszliśmy wolno obok tych

egzemplarzy. Po jakichś dziesięciu minutach, kiedy oddaliliśmy się w stronę wioski, katusze się odezwały. Z tego, że strzelano wywnioskowaliśmy, że front musi być niedaleko.

Niedaleko od miejsca, gdzie stały te katusze znajdowała się wioska. Zbliżaliśmy się do niej idąc po ścieżce poboczem. W wiosce nie było widać kręcącego się wojska. Z całą pewnością jednak musieli być gdzieś blisko. Sama wieś wyglądała na kaszubską. Był inny styl budownictwa niż w Prusach Wschodnich. Zniszczeń nie było widać, może tu i ówdzie. Tu demon wojny obszedł się łaskawie z ludźmi i zabudową. Nie zatrzymywaliśmy się, bo było jeszcze za wcześnie na nocleg, a my się jednak trochę spieszyliśmy.

Kiedy zaczęło się ściemniać, zauważyliśmy zabudowania stojące samotnie w pobliżu drogi. Było to gospodarstwo opuszczone, a budynek mieszkalny częściowo został zniszczony. Pozostałe zabudowania gospodarze były w całości i w takim stanie, że można było z powodzeniem przenocować. Nie szukaliśmy żadnych wygod, mając takie przeżycia i doświadczenie za sobą. Kiedy znaleźliśmy w obejściu okazało się, że są już tam jacyś ludzie. Była to grupka Francuzów, z którymi oczywiście nie mogliśmy się dogadać poza tradycyjnym już językiem gestów i uśmiechów. Byli to tacy sami jak i my wędrowcy, kierujący się w stronę domu, tylko my mieliśmy bliżej do swoich. Jakieś pojedyncze niemieckie słowa uzupełniały naszą wiedzę o sobie. Potem każdy zajął się swoim posłaniem na noc. W szopie było dostatecznie dużo słomy, żeby sobie dać radę z noclegiem i to całkiem wygodnym.

Oddychało się z ulgą. Będąc już poza frontem czuliśmy się bezpieczni. Jednak – jak się przekonaliśmy – nigdy i nigdzie nie można być naprawdę bezpiecznym, szczególnie kiedy przebywa się w pasie frontowym – jak akurat my. To nasze bezpieczeństwo było tylko pozorne. Spaliśmy będąc utrudzeni dość mocno, ale nad ranem zbudził nas potężny huk od wybuchu pocisku. Było jeszcze ciemno, ale zerwaliśmy się na nogi nie wiedząc o co chodzi i co się stało. Powstał mały popłoch, bo okazało się, że jakiś zbłąkany pocisk artyleryjski trafił w szopę od strony, gdzie spali Francuzi. Były nawet ofiary. Wskoczyliśmy na zewnątrz ze swoimi bambetłami, gotowi do ucieczki, bo byliśmy jeszcze tradycyjnym zwyczajem w ubraniach. Wybuch pocisku pozbawił życia jednego z Francuzów. Był też jeden chyba ranny w plecy czy bark, ale lekko. Robiło się coraz widniej, więc i raźniej. Wkrótce spadł jeszcze jeden pocisk w pobliżu poza zabudowaniami, ale nie wyrządził żadnej szkody. Najpierw kręciliśmy się po podwórzu nie wiedząc co robić, ale logika nakazywała wynosić się z tego miejsca. Okazało się, że było tam jeszcze kilka innych osób, które dobiły do nas, kiedy my już spaliśmy. Nikomu nie mogliśmy nic pomóc. Francuzi załatwiali sprawy w swojej grupie, a my stwierdziliśmy, że nic tu po nas wyruszyliśmy w swoją drogę.

Nagła pobudka spowodowana wybuchem pocisku spowodowała, że zerwaliśmy się wyspani i trzeźwi jak po zimnej kąpeli. Wyruszyliśmy żwawo i nie odczuwając zmęczenia. Po krótkim marszu znaleźliśmy się na drodze poranej nieco pociskami. Tu i ówdzie widoczne były jeszcze leje po bombardowaniu. Droga przebiegała przez zalesione tereny, a jezdnia była już prowizorycznie naprawiana. Ruch był dość mierny i musiał być ostrożny z uwagi na konieczność omijania przeszkód. Przekonaliśmy się, że zorganizowana była społeczna naprawa drogi, kierowana przez wojsko. Starano się w miarę możliwości likwidować te najbardziej uciążliwe odcinki, zasypując doły i sprzątając padlinę. W tym celu postawiono tutaj starszynę, który zatrzymywał przechodzących tędy na dwie godziny, dając im jakieś zadanie do wykonania. Kiedy nas zatrzymał, nie pomogły tłumaczenia, że wracamy do domów. „Nu ładno, tolko nada porabotać dwa ciasy” – powiedział. Chcieliśmy go przekonać, ale się nie dał. Wiedzieliśmy, że niema się co droczyć, bo starszyzna miał pepeszę i był tam władzą.

Kazał nam położyć swoje manatki w jedno miejsce i zabrać się do roboty. Dostaliśmy zadanie wykopania dołu i zakopania dużego konia, leżącego na poboczu drogi. Koń nie tylko, że był wielki, ale jeszcze do tego wzdęty niemal jak balon. Musiał tu leżeć przynajmniej kilkanaście dni. Starszyzna dał nam łopaty i kazał wykopać ten dół, a to przecież umieliśmy. Dołek ten musiał być stosowny do wielkości owego konia, więc zabraliśmy się do roboty na zmianę, żeby prędeż skończyć. Po zameldowaniu, że praca została zakończona zostaliśmy zwolnieni i zabrawszy swoje węzłki ruszyliśmy dalej.

Droga nasza prowadziła przez tereny zaludnione, gdzie wcześniej przeszedł front. Jak się poprosiło, to ludzie dawali jeść. Zaczęliśmy odbudowywać naszą nędzną kondycję. Dzisiaj wspominając ten nasz rajd pieszy, nie żałuję tej nadłożonej drogi. Więcej zobaczyliśmy niż byśmy mogli sobie wyobrazić. Zniszczeń i śmierci widzieliśmy dużo, tyle, że wystarczy wspomnień na całe życie. W tym dniu, podobnie jak w poprzednim, natrafiliśmy na bardzo makabryczne ślady tragedii ludzkiej. Wprawdzie dotyczyło to narodu naszych niedawnych ciemiężyli, jednak kiedy zobaczyliśmy w jednym miejscu pobojowisko i wiele zmasakrowanych, zniekształconych ciał, poczuliśmy ból i rozpacz. Na skrzyżowaniu dróg zrytych gąsienicami czołgów i kołami samochodów wałało się wiele desek i drewna, a także kilkanaście ciał ludzkich w wojskowych mundurach wgniecionych w ziemię. Ciała te tylko dlatego poznaliśmy, że były w mundurach. Były spłaszczone jak cienkie deski i zrównane z ziemią, a właściwie wgniecione w drogę. Wyglądały jak masywne wióry. Widok był niesamowity. Mogło to już leżeć dwa czy trzy tygodnie. Żeby nie mundury, to trudno byłoby doszukać się w tych kształtach jakichś ludzkich

szczałków, a przecież jeszcze niedawno byli to ludzie – żołnierze Wehrmachtu. Zatrzymaliśmy się w tym miejscu i ogarnęła nas jakaś przykra refleksja i żal, której nie sposób wyrazić.

Była już wiosna, słońce świeciło, a my podążaliśmy do domów. Ważne, że między nami panowała zgoda. Pod koniec dnia, jeszcze przed wieczorem, w małej miejscowości zgłosiliśmy się do sołtysa, żeby wskazał nam miejsce do spania. Sołtys zaprowadził nas do budynku podobnego do szkolnego i polecił się zainstalować. Była tam między innymi sala, na której były stoły i krzesła, a także jakieś fotele. Zrobiliśmy sobie spanie na swoich kocach w jednym z kątów i było całkiem luksusowo. To była druga noc na wolności i kolejna zbliżająca nas do spotkania z naszymi rodzinami. Tym razem spało się bardzo spokojnie – nie było żadnych zakłóceń. Poprzedniej nocy mieliśmy więcej szczęścia, jak rozumu, a na pewno więcej niż ci Francuzi, z których jeden przyplacił to życiem. Tu nie było słyhać żadnego strzału i nie dochodził żaden odgłos wojny. Pozostały po niej tylko ślady.

Kiedy się obudziłem słońce zaglądało już przez okna. Na podwórku znajdowała się studnia, nie było więc problemu z myciem. Mieliśmy już zdobyte mydło. Nie było luksusu mycia zębów, bo ani szczoteczki ani pasty żaden z nas nie miał i nie używał, musiało zatem wystarczyć płukanie ust zimną wodą. Najgorzej przedstawiała się sprawa z włosami. Wszyscy wyglądaliśmy jak przysłowiowe capy, zarosnięci na łbach, bez możliwości nawet zaczesania naszych kudłów. Do najważniejszych problemów naszego bytowania poprzednio należała plaga wszawicy, ale od ostatniej dezynfekcji w beczce szlak trafił te insekty i mimo niedostatecznych wciąż warunków higienicznych byliśmy aktualnie wolni od tej plagi.

Po śniadaniu cała nasza paczka wyruszyła w dalszą drogę. Teraz nie było na naszym szlaku żadnego tłoku, bo niewielu poruszało się po drodze, więc szliśmy sobie spokojnie jak czterech włóczęgów. Od czasu do czasu kogoś się spotkało. Taka sytuacja nie powodowała konkurencji w staraniu się o żywność. Upewniwszy się, że teraz idziemy prawidłowo w stronę Kartuz, bo takie wskazówki otrzymaliśmy ostatnio, posuwaliśmy się dość energicznie do swojego celu.

Tego dnia, który rozpoczęliśmy dość optymistycznie zdarzyło się coś, czego wówczas nie rozumieliśmy, ani też nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego skutków. Idąc sobie normalnie drogą natknęliśmy się na nieduży, ogrodzony kawałek lasu o powierzchni około dwóch tysięcy metrów. Było to tuż przy drodze na wysokiej skarpie. Ogrodzenie było z drutu kolczastego, nawet niezbyt gęsto plecione, tak że można byłoby bez trudu się przedostać. Las był dość duży, ale tylko ten kawałek bezpośrednio przy drodze był ogrodzony. Na wysokości tego ogródka zostaliśmy zatrzymani przez dwóch wojskowych radzieckich i dokładnie wypytani. Kto my jesteśmy, skąd idziemy, gdzie byliśmy, co robiliśmy i dokąd idziemy, a także gdzie zamieszkujemy i po ile mamy lat. Odpowiadaliśmy zgodnie z prawdą, bo nie mieliśmy co ukrywać, niczego się nie spodziewając. Staraliśmy się tłumaczyć wszystko po rosyjsku, bo oni nie znali języka polskiego. Po tych wszystkich pytaniach i odpowiedziach kazali nam iść ze sobą do tego ogródka. Kiedy się tam znaleźliśmy, zobaczyliśmy koczujących pod krzakami już wcześniej zatrzymanych około 20-30 mężczyzn. Byli to cywile podobni do nas – też w takich nędznych ciuchach. Na pierwszy rzut oka to byli ludzie starsi od nas i nie Polacy, bo swoich to się poznaje na odległość. Przy wejściu na ten teren stał żołdat z pepeszą, co oznaczać mogło, że wychodzić z ogrodzenia nie było wolno bez pozwolenia. Początkowo myśleliśmy, że chcą nam pomóc w dostaniu się do domów, ale zaczęliśmy odczuwać, że coś jest nie tak. Tu na miejscu nie było żadnego pojazdu ani żadnych budynków, a nawet „kibla”. Co my tu robimy? Toteż po jakimś krótkim czasie podeszliśmy do bramy, gdzie przebywali ci co nas zatrzymali. Powiedzieliśmy im, że już odpoczęliśmy i możemy iść dalej do domów. Jeden skłonny był nas puścić, ale ten drugi nie zgodził się. „Niet, nie lzia” – zaprotestował. Ten, który chciał nas puścić powiedział: „Smatri, eto malcziki”. Jakiś czas rozmawiali, jakby się spierając o racje, bo także gestykulowali. Zrozumieliśmy trochę z tej wymiany słów, że ma zdecydować „komisarz”. Rozmawiali jeszcze trochę i wreszcie zgodził się. Mruknął – „dawaj – uchozjij”. W nas jakby piorun trzasnął i za chwilę byliśmy na drodze nie oglądając się za siebie.

Kiedy zginęliśmy im z oczu, zaczęliśmy kombinować i doszliśmy do wniosku, że chcieli nas na pewno skierować do jakichś robót. Nie mieliśmy znajomości tych spraw politycznych, które wtedy już się rozgrywały i dotyczyły dużej rzeszy ludzi umęczonych wojną i jej skutkami. Prawda była na pewno inna. Wtedy już poza frontem odbywało się zbieranie kandydatów do wyjazdu na „białe niedźwiedzie”. Tak popularnie określano wysyłkę na Syberię. Od tamtego zdarzenia staliśmy się bardziej nieufni – może intuicyjnie wietrząc ewentualne zagrożenia naszej wolności ze strony ludzi w mundurach. Wiedzieliśmy niewiele, ale czuło się różnicę w obcowaniu z żołnierzami w „rubaszkach”, noszącymi pepesze, gwintówki i na plecach „mieszki”, a takimi innymi – chodzącymi zdaje się w okrągłych czapkach z czerwonym otokiem. Frontowcy doznali wiele głodu i biedy na co dzień – o czym kilka razy mogliśmy się przekonać zanim dotarliśmy do swoich domowych pieleszy.

Było nam pilno. Drogi ubywało niewiele, chociaż nie ociągaliśmy się. Nikt nam nie przeszkadzał ani jej blokował. Niedawna fala ludzka rozmyła się i wsiąkała w mapę terenu, rozciągając się po różnych drogach. Takich jak my można było policzyć na drogach już na palcach. Ale ślady wojny wciąż były widoczne. Ropiejące rany nie goją się tak szybko, jakby się chciało.

W pewnym miejscu przy drodze biegnącej dość łagodnym łukiem na skraju lasu napotkaliśmy mnóstwo połamanych wozów zaprzęgowych, leżących na poboczach i w rowach. Wszystko leżało pokotem i sterczały tylko różne graty na tych porozbijanych pojazdach. Były to takie wozy, jakie widzieliśmy poprzednio, kiedy ludność niemiecka opuszczała swoje siedziby uciekając przed nadchodzącym frontem. Znajdowało się w nich mnóstwo różnorodnego sprzętu i przedmiotów – rzeczy praktycznych zabieranych ze sobą w takich wypadkach jak ucieczka. Były tam sprzęty gospodarstwa domowego, nakrycia stołowe, garnki, pościel, ubrania itp. Odruchowo zaczęliśmy szperać w tych wozach, bo z porzuconego dobytku prawo wojny pozwalało coś sobie wziąć przydatnego. To nazywało się trofeami. Mnie się udało znaleźć kilka weków oraz duży poeć solonej słoniny. To było znalezisko na wagę złota. Tak się teraz ułożyły stosunki między nami, że każdy miał swoją spiżarnię i nosił ją ze sobą. Często waliśmy się i dzieliłiśmy, ale na zasadzie wzajemności. Zdobycie poćcia słoniny było wtedy znaczącym zasileniem mojego tobołka. Każdy miał prawo zabrania sobie co znalazł, co mu się podobało i sobie brał. Własność osobista była honorowana przez wszystkich jednakowo. Po spenetrowaniu tego pobojowiska i ruszyliśmy dalej.

Pod wieczór dociągnęliśmy do kolejnej miejscowości, gdzie znaleźliśmy kogoś, jakby sołtysa, który ulokował nas w jednym z opuszczonych domów. Tu urządziliśmy sobie odpoczynek i nocleg. Mogliśmy napalić pod kuchnią i zrobić sobie ciepły posiłek. Sam fakt, że można się tak gospodarzyć to był luksus. Były garnki, kuchnia, opał i było co zjeść. Ta miejscowość była zamieszkała i ludzie mówili po polsku. To nas najbardziej cieszyło i o nic więcej się nie dopytywaliśmy. Kończył się trzeci dzień naszej wędrówki. Dowiedzieliśmy się, że do Kartuz nie jest już daleko. To napawało nas nadzieją na dotarcie do środków transportu i szybki powrót do domu.

Noc przespaliśmy szczęśliwie i raniem po umyciu się i przegryzieniu czegoś wzięliśmy kurs na Kartuzy. Do miasta dociągnęliśmy wczesnym popołudniem. Zrobiło się pochmurno, ale nie padał deszcz. Tu dopiero było widać, że coś się dzieje. Był ruch bardzo intensywny – kręciło się wielu ludzi, nie wiadomo po co – i na ulicach było bardzo ciasno. Komunikacji żadnej oczywiście nie było. Wszędzie kręcili się ludzie z tobołkami, bo jak się zdaje to był ich całkowity dobytek. I tak wyglądało, jakby się wszyscy spieszyli do domu, a nie wiedzieli gdzie się skierować. Było też dużo wojskowych. Kręcili się różni żołdaci z bronią i mieszkaniami na plecach – zarówno młodzi ludzie jak i starsi. Różni ludzie zaczepiali się i rozmawiali nie znając się nawzajem – chodziło o najróżniejsze informacje, a także różne plotki jakie mogą się w takich sytuacjach rodzić.

Na razie chodziliśmy grupką. W pewnym momencie natknęliśmy się po raz pierwszy na jakiś posterunek Milicji Obywatelskiej. Chyba była też tam placówka PUR. To było już dla nas całkiem obce, ale od czego informacja. Były to bowiem pierwsze jednostki reprezentujące władze państwowe. Tymi widokami i wiadomościami byliśmy oszołomieni. Polskie władze – milicja, wojsko – bo spotykaliśmy także i polskich żołnierzy w polskich mundurach – nie rubaszkach – wszystko jak we śnie. Ze zdobytej informacji dowiedzieliśmy się, że możemy dostać dokument, który uprawnia do bezpłatnego przejazdu do domu, każdym dostępnym środkiem lokomocji. Takie dokumenty otrzymaliśmy od ręki w tym biurze na podstawie własnego oświadczenia. Stwierdzały one, że wracamy do domów i mamy prawo do korzystania z wszystkich dostępnych środków lokomocji bezpłatnie. Wpisane było nazwisko i imię, podpis wydającego dokument i pieczętka podłużna u góry i okrągła na dole. Poczuliśmy opiekę władzy polskiej.

Szwendając się słuchaliśmy różnych wieści i dowiedzieliśmy się, że podobno nareszcie jutro – czyli w sobotę – ma ruszyć pierwszy wojskowy transport kolejowy na południe Polski i gdzieś dalej. Dotychczas trwało przygotowywanie na stacji składu i kwalifikowanie ładunku wojskowego do tego transportu. Podobno też komendant wojskowy zgodził się na zabranie wszystkich, którzy się zmieszczą do tego składu po załadunku. To była pocieszająca wiadomość, ale na ten transport oczekiwali inni, którzy dłuższy czas wegetowali w Kartuzach. My natomiast byliśmy tak niby prosto z marszu. Jednak to już była nadzieja, że rusza transport kolejowy. Skład planowany na dzień następny miał się udać w kierunku Bydgoszczy. Takie były wstępne wieści.

Po uzyskaniu tych budujących wiadomości, ruszyliśmy się żeby poszukać sobie jakiegoś kąta do przeczekań do jutra, bo na ulicy nie da się przetrzymać. Wiele mieszkań było opuszczonych, więc pomyszkowaliśmy i znalazł się jeden lokal bardzo pachnący jak na nasze nosy. Było to pomieszczenie po salonie fryzjerskim. Znaleźliśmy tu mnóstwo różnych pachnidła. Pomieszczeń było więcej i wszystkie na parterze. Ulokowaliśmy się w pokoju sąsiednim od podwórka. Było tu wygodnie i pachnąco, była woda bieżąca, łazienka, trochę bielizny i jakieś meble. Doprowadziliśmy się do należytego porządku. Mnie dokuczały nogi. Nosilem te swoje niezagojone rany i nie miałem czym opatrzyć. Jedną była na kości piszczelowej lewej nogi – bardzo rozległa – a druga na prawej nodze z przodu nad stopą. Także i moje pechowe ucho przemrożone, lecz szczęśliwie uratowane, nie zaropiało, ale było grube w całości i niesamowicie swędziało. I to też było bardzo dokuczliwe.

Ustaliliśmy, że na zmianę posiedzimy przy swoich bambetlach, bo nie można było nosić wszystkiego ze sobą, a pozostawienie w naszym przejściowym schronisku groziło tym, że ktoś obcy się nimi zaopiekuje. Mieliśmy zmieniać się po dwóch, żeby było bezpieczniej dyżurującym.

Wyskoczyłem na miasto i rozejrzałem się za jakimś obiadem. Traf chciał, że szczęśliwie udało mi się wywąchać jakąś kuchnię. Było to na parterze w jakimś lokalu, gdzie trafiłem na Rosjanina – starszego już wojaka. Spytałem czy ma coś do jedzenia i okazało się, że miał coś z obiadu. Najpierw dał mi łychę wazową kapusty, która nieźle smakowała chociaż była trochę za kwaśna. Kiedy zmęczyłem kapustę, dał mi takich suchych kartofli i kawał chleba. Chleb schowałem do kieszeni, a ziemniaki zjadłem tak na sucho, że mało się nie udusiłem. Podziękowałem i wyniosłem się, aby trochę jeszcze połażyć. I wtedy o mało nie zostałem pozabawiony wojskowego pasa zdobycznego z napisem „Got mit Uns”. A było to wtedy, gdy chciałem załatwić swoją potrzebę. W tym celu udało mi się w pewne przypadkowe miejsce – jakieś wysypisko śmieci – i kucnąłem sobie obok młodego żołdaka radzieckiego. Tradycyjnym chłopskim zwyczajem zdjąwszy pas, założyłem go sobie na kark. Żołdat chciał go zobaczyć, więc zdjąłem i pokazałem. Ale on chciał wziąć go do ręki, wobec czego dałem mu klamrę i trzymałem za koniec. Jednak gdy się zreflektowałem, że chce mi pas zakosić, szarpnąłem tak, że nie udało mu się utrzymać w rękę klamry, bo tego się nie spodziewał. Miał do mnie pretensje i zrobił się hardy za to, że nie chcę dać mu tego pasa, że przecież oni nas wyswobodzili itp. Mnie to już wisiało i nie obawiałem się. Zapytałem czy wie co to jest NKWD i było po wszystkim. Wśród nich wielu było pospolitych żulików, którzy kręcili się żeby coś zwędzić i zamienić na gorzałkę.

Po tej przygodzie powróciłem na kwaterę i zmieniłem kolegę. Tego dnia już nigdzie się nie wypuszczałem dyżurując i odpoczywając. Było kilka wygodnych foteli, to się chciało posiedzieć. Kiedy tak sobie odpoczywaliśmy z drugim kolegą, przyszała do nas jakaś młoda kobieta i powiedziała, że mieszka na pierwszym piętrze nad nami i że możemy zanoćować u niej w mieszkaniu to będzie nam wygodniej. Ma duży lokal i łóżka z pościelą. Oczywiście, że nie było odmowy z naszej strony. Wyraziliśmy zgodę i przeniesiliśmy się z tłumoczkami na piętro. Tu było prawdziwe mieszkanie z prawdziwym noclegiem, pierwsze od wielu miesięcy. Na dole został kolega, żeby przyprowadzić tych, którzy jeszcze nie wrócili. Wkrótce wrócili i już razem ulokowaliśmy się w prawdziwym mieszkaniu. Gospodyni przygotowała nam posłania, jednemu na kanapie, a dla trzech duże łóżko. To było królewskie łóżko. Zadomowiliśmy się, bo było jeszcze za wcześnie na spanie, mieliśmy sporo czasu wieczorem. Zgadając się dyskretnie zauważyłem w drugim pokoju na toalecie nieduże zdjęcie mężczyzny w mundurze i czapce wojskowej oficera Wehrmachtu. Domyśliłem się, że to jest jej mąż. Ona była z małym dzieckiem, które chyba nie miało jeszcze roku. Kobieta obawiała się nocować sama w mieszkaniu ze względu na maruderów i szwędających się nocą żołdatów, dlatego zaproponowała nam kwaterę. I dobrze zrobiła, bo nocą mieliśmy gości chętnych do zabawy.

Na korytarzu pierwszego piętra połączonego z klatką schodową znajdował się zlewozmywak z kranem i stolik z kuchenką gazową dwupalnikową więc korzystając z tego postanowiłem ugotować swoją słoninę. W tym celu pokroiłem ją na mniejsze kawałki, władowałem w pożyczony garnek i postawiłem na ogniu. Jakiś czas trzeba było poczekać aż się zagotuje, a następnie ugotuje. Kiedy tak stałem pilnując swojego posiłku, zjawili się na górze dwóch żołdatów. Jeden był bardzo młody, a drugi dość stary. Ten stary odzywał się do tego młodego per „synok”. Obaj mieli jeden wspólny mieszek, w którym trzymali swoje rzeczy i zapasy pożywienia. Stary popatrzył się na mój garnek i pociągnął nosem, a później poprosił, abym mu dał trochę. Powiedziałem mu, że dostanie wszystko. Słonina już się ugotowała, więc wyłowilem ją z garnka, a cały ten tłusty słoninowy rosół wlałem im do kociołków. Bardzo mi ten starszy dziękował.

Zostawiłem wojaków i zaniósłem swoje rzeczy do naszego jednonocnego lokum. Zrobiliśmy sobie kolację, bo było trochę chleba i do tego gotowana słonina, a wszystko popiło się świeżo zaparzoną kawą, którą dostaliśmy od gospodyni. Jakiś czas po kolacji nie było właściwie atmosfery do kontynuowania rozmów, bo krótko mówiąc byliśmy znużeni i chciało się wypocząć, więc zebraliśmy się do spania. Zamknięte zostały drzwi wejściowe na klucz i wskoczyliśmy do łóżek. Sen przyszedł niemal natychmiast.

W nocy (chyba jeszcze było dość wcześnie) zbudziłem się, bo usłyszałem chodzenie po schodach i w korytarzu. Była tam drewniana podłoga i na piętrze słychać było każdy krok. Po jakimś czasie ktoś stuknął do drzwi i próbował je otworzyć, ale bez rezultatu. Następnie odezwał się głos – „odkrij dwieri”. Wtedy któryś z naszych sennym głosem, ale głośno mruknął – „uchodzij – nie bospakoj ludziej”. Zrobiło się cicho, a za chwilę znów zaczął „odkrij dwieri, odkrij”. Po tym ponownym i natarczywym dobijaniu się pozwoliłem sobie bluznąć tak, jak nauczyłem się w ciągu kilku miesięcy obcowania z Rosjanami, kiedy nawet bez intencji rugania się czy ubliżania słyszało się różne wiazanki. Miałem znacznie grubszy głos od swoich kolegów, a jeszcze sobie odkaszlnąłem do tego. Koledzy nie odzywali się, ale nie byli gorsi ode mnie, gdy chodziło o popisanie się słownictwem z takiej niecenzuralnej łączki. Po mojej odzywce słychać było jakieś szurania i głosy na korytarzu. Musiało być dwóch albo trzech, ale już się nie dobijali, bo stwierdzili że w mieszkaniu jest kilka osób, a im chodziło niewątpliwie o kobiety.

Słysząc było jak schodzili po schodach na dół. Musieli to być jacyś podpici żołdacy szukający przygód. Początkowo nie mogliśmy usnąć i obawialiśmy się jakiegoś zagrania z ich strony. Z żołdakami trzeba było zdecydowanie, a nawet zaczepnie, aby zniechęcić ich do agresji, bo nieraz z drobnego incydentu zaczynała się strzelanina. Obawiali się NKWD jak ognia lub po prostu silniejszych od siebie. NKWD nie patyczkowało się i zdarzały się wypadki, że za niewykonanie rozkazu odstąpienia od czegoś wymierzana była kara doraźna – kula w łeb. Tak działało prawo wojenne. Nieraz wystarczyło wspomnieć o NKWD to natychmiast głowy się studziły, nawet tych podpitych awanturników.

Po nocnym zakłóceniu panował do rana spokój. Spaliśmy po królewsku jak jeszcze nigdy w czasie wojny. Rano nie było chęci do wylegiwania się w łóżku, chociaż było wygodnie. Raz – bo byłoby to nieładnie, a po wtóre to chcieliśmy jak najprędzej wpasować się tam, gdzie odbywać się czekanie na podstawienie składu pociągu do wyjazdu. Niewątpliwie konkurencja będzie duża. Założyliśmy, że nie będzie takiej siły, która by nam mogła zagrozić w uciepieniu się jakiegoś wagonu.

Zrobiliśmy sobie śniadanie z niewielkiego zapasu posiadanej żywności, ale na zimno, bo nie chciało się nam zabawić z parzeniem kawy. Wychodząc zastaliśmy na korytarzu niesamowity nieporządek – zaświniona ekskrementami podłoga i schody na klatce. Nikogo jednak w pobliżu nie było i zastanawialiśmy się czyja to sprawka – tych co nas niepokoił w nocy czy tego starego wojaka i synoka. Podziękowaliśmy za nocleg gospodyni, a ona nam za odstraszenie intruzów. Szybko się zebraliśmy i powędrowaliśmy w kierunku stacji kolejowej, żeby nie przegapić pociągu.

Na stacji kłębiły się tłumy potencjalnych pasażerów tego pierwszego transportu, inaugurującego kursowanie pociągów w świat. Na bocznicę stał skład towarowy, który był ładowany i szykowany do drogi już od kilku dni. Rwetes był niesamowity. Tam gdzie załadunek był oficjalnie zakończony trwały przetargi o miejsca. Znaleźliśmy wagon z końmi, który nam pasował i dogadaliśmy się z jego opiekunem, któremu obiecaliśmy pomagać w karmieniu i pojeniu zwierząt w czasie podróży, a także sprzątanie. Mając jego zgodę załadowaliśmy się do środka. Ulokowaliśmy się pomiędzy końmi, które były w stosunku do nas obojętne, a nawet łaskawe. Konie jak to konie – załatwiały swoje sprawy, kiedy się to im podobało podnosząc ogony i bezceremonialnie sypiąc kajzerkami na podłogę.

Stan wagonów już po południu był godny ubolewania. Wszystkie były tak oblepione wszelkim ładunkiem, że wydawało się niemożliwe ruszenie z miejsca. Wagony pełne, na dachach pełno, na zderzakach i wszelkich możliwych miejscach między wagonami, w budkach hamulcowych, wszędzie tam, gdzie był jakikolwiek punkt zaczepienia – byli ulokowani ludzie i zwisły jakieś tobołki. A my ulokowaliśmy się w szczycie wagonu od strony lokomotywy, pod głowami koni, gdzie rozłożyliśmy swoje bambetle. Posłania oczywiście nie było. Mniej wygodnie i korzystnie mieli ci, którzy zostali później dopuszczeni do wagonu i mieli miejsca blisko drzwi, bo narażeni byli na bombardowanie końskimi kajzerkami. Jednak najważniejszym dla każdego było zaczepienie się i jazda. Co jakiś czas rozchodziła się wieść, że pociąg zaraz ruszy, ale wciąż były to fałszywe sygnały. Coś go zatrzymywało. Dopiero przed zmierzchem rozległ się donośny gwizd, a potem jeszcze jeden i za chwilę poczuliśmy, że jedziemy.

Skład pociągu po wymanewrowaniu ze stacji w Kartuzach toczył się bardzo powoli i często się zatrzymywał. Powodów do zatrzymywania się nie znaleźliśmy. Dla nas ważne było to, że jedziemy w dobrą stronę, za darmo i możemy drzemać. Mamy bezpieczne miejsca w porównaniu z takimi, którzy koczują na dachach. Tak się wlekleliśmy przez całą noc w swoim komfortowym przedziale klasy towarowej.

Jadąc tak drzemaliśmy i budziliśmy się wielokrotnie, a że było ciemno to nawet nie było wiadomo gdzie się w tym czasie znajdujemy. I takim truchcikiem z przystankami, rankiem dociagnęliśmy do Bydgoszczy, gdzie była już Polska całą gębą. Kiedy znaleźliśmy się na bocznicę kolejowej jakiegoś dworca w Bydgoszczy nasz „wywiad” wkrótce doniósł, że ten skład będzie tu stał na pewno dosyć długo i nie wiadomo gdzie i kiedy następnie ruszy. Nie były to wieści optymistyczne, ale niejeden skład tu się znajduje, bo widać było wiele wagonów na bocznicach i było to wszystko rozciągnięte daleko wzdłuż torów. Spłynęliśmy ze swoimi torbami i ulokowaliśmy się na razie między torami rozglądając się za jakimś rozwiązaniem. Rada w radę – trzeba zasięgnąć języka, czy w ogóle stąd i kiedy może coś wyruszyć w kierunku, któryby pasował nam. Ponieważ między torami na bocznicę widać było kręcących się ludzi i porozkładane tu i ówdzie grupki wojaków, zabrałem ze sobą cześć słoniny kombinując, że może uda się wyhandlować nam jakąś ilość chleba, którego nie mieliśmy. Na zwiady ruszył także jeszcze jeden z naszych, a pozostali dwaj czekali z torbami. Taki był pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych.

Wplątawszy się w środowisko wojaków spytałem czy chcą sała. Usłyszałem – „dawaj”. Wtedy ja powiedziałem – dawaj chleb – machoniom. Skrzywili się i zaczęli kombinować w swoim gronie, bo sami też nie mieli go wiele. I tak targ w targ, nawet nie bardzo korzystnie dla mnie wyhandlowałem co mogłem, żeby starczyło na śniadanie. Kiedy wróciłem to urządziliśmy sobie posiłek nawet dość solidny, tylko na sucho, bo nie było czym popić. Do popicia wtedy wystarczała woda z kranu, więc nie narzekało się.

Kolega przyniósł wiadomość, że o godzinie dziesiątej ma odjechać pociąg osobowy do Torunia. To oczywiście bardzo nam pasowało, bo zawsze bliżej do naszych domostw. Trzeba było tylko dowiedzieć

się skąd ma ten pociąg wyruszyć, gdzie on może stać. A może skądś nadjedzie? O taką informację wtedy nie było łatwo, a jeszcze trudniej nam – mającym kilka dni temu nad głową świszczące pociski. Ale jakoś doszliśmy do prawidłowego stanowiska, gdzie już kłębiły się tłumy chętnych na jazdę do Torunia. Tłumoki, tłumoczki, walizy, walizki, różne pakunki. Tu już się odbywał ruch nie taki jak my znaleźliśmy. Ludzie chodzili po torach wyglądając, czy nie nadjeżdża pociąg. A my mieliśmy tylko nasze nędzne, drobne zawiniątka. Czas się dłużył, a naród niecierpliwie się kręcił jakby w ten sposób mogli coś przyspieszyć. Wreszcie zaczęto pokrzykiwać, że już jedzie. I rzeczywiście, po chwili pokazał się i zaczął wtaczać się na peron skład wagonów osobowych ciągniętych przez lokomotywę puszczającą z sykiem parę. Zanim zdążył się zatrzymać tłum rzucił się do wagonów w biegu. Był straszny ścisk, niemal łamanie kości. Wsiadanie odbywało się drzwiami i oknami. Siła tłumu wmanewrowała nas niezwłocznie do środka wagonu i nawet na siedzące miejsca. Później przedziały tak się zapełniły, że siedzące miejsca były mniej wygodne od stojących. Ale znów najważniejsze było to, że jesteśmy w środku. Ostatni wciskali się jeszcze oknami i nawet pomagano im wejść.

Załadunek czy jak kto woli wsiadanie – odbyło się bardzo szybko i ci, którzy dostali się do środka oczekiwali niecierpliwie na odjazd. Ale jak zwykle nawet w ostatniej chwili jeszcze jacyś spóźnieni próbowali się wcisnąć. Jak na czasy przyfrontowe to pociąg odjechał punktualnie. Wielkanocna podróż odbywała się już w pociągu osobowym, ale trudno byłoby ustalić w jakiej klasie. Kilka minut po godzinie dziesiątej – jak twierdzili posiadacze zegarków – lokomotywa gwizdnęła, a po chwili wagony drgnęły i pociąg zaczął się toczyć, a my w środku ubijać. Chociaż był niesamowity tłok to nam było na sercu lekko. Jechaliśmy w jednym przedziale.

Pędziliśmy do Torunia nie widząc nawet nic za oknem w tej ciżbie. Ale to nie było ważne. Dobrze, że okna trochę odchyłono, bo moglibyśmy się podusić. Jedni otwierali inni przymykali, bo im wiało. Wtedy zaświtała mi śmieszna myśl. A co by było, gdyby ktoś dostał rozstroju żołądka? Jakby go przepuszczano do toalety? Czy też by zdążył? Ale szczęśliwie nie było takiego przypadku. Pociąg nie gnał specjalnie szybko i nawet gdzieś się zatrzymywał, jednak już przed dwunastą byliśmy na miejscu. Na stacji doszła do nas wiadomość, że w Toruniu most kolejowy na Wiśle jest zerwany i kto w stronę Warszawy to korzystniej jest przejść na drugą stronę Wisły pieszo i szukać połączenia przez Lipno i Sierpc.

Mnie to pasowało. Niebawem znaleźliśmy się przy moście, przez który odbywał się cały ruch pieszy. Przed mostem stał posterunek żołnierzy radzieckich i wszyscy przechodzący byli legitymowani. Każdy musiał przedstawić jakiś dokument tożsamości. My mieliśmy te zaświadczenia wystawione w Kartuzach z pieczęciami. Wojak obejrzał zaświadczenie i pieczęcie i kazał sobie przeczytać, więc mu przetłumaczyłem tak jak umiałem na rosyjski. Powiedział „ładno” i spytał: „Wy wsie macie takie rozpiski?”. „Wszyscy” – odpowiedzieliśmy i pokazaliśmy te trzymane w rękach papierki z pieczęciami. Wtedy kazał nam przechodzić i ruszyliśmy przez most jak przez granicę. Pognaliśmy dalej za ludźmi i niebawem szczęśliwie znaleźliśmy dworzec kolejowy.

I tym razem nie opuściło nas szczęście. Pytając o jakieś połączenie bliżej Warszawy usłyszeliśmy, że stoi na torach pociąg i zaraz rusza do Nasielska. To my biegiem do tych wagonów bydłowych i do środka. Ludzi było niewiele, a wagony prawie puste. Wagon towarowy, ale czysty, suchy, kryty i jazda z otwartymi drzwiami. Ciepło na świecie, ciepło w sercach i coraz bliżej domów. Mieliśmy niesamowite szczęście, bo po dosłownie kilkunastu minutach lokomotywa odgwizdała swój odjazd i ruszyliśmy z łoskotem kół w stronę Nasielska. W tym gronie ja byłem najbliżej domu, bo miałem wysiąść w Sierpcu. Z Sierpca miałem tylko 35 kilometrów. Lecący dość szybko skład nie zatrzymywał się często.

Niedługo przestaliśmy się napawać krajobrazem i rozłożywszy swoje bambetle na podłodze – podobnie jak inni, którzy jechali razem z nami pogadywaliśmy sobie o kończącej się naszej poniewierce. Tu nie było foteli, a nawet zwykłych ławek, na których jeszcze przez kilka lat po wojnie jeździli pasażerowie pociągów osobowych w wagonach towarowych. Jechaliśmy do swoich domów. Ale kto wie, kogo tam zastaniemy? Tędy też przeszła wojna. Na polach widać wiosnę, ale jak zauważyłem nie ma śladów walk.

Na ten pusty skład pociągu, który nas wiozł musiano gdzieś na pewno czekać, bo gnał jakby był przyspieszony. Ale niezależnie od szybkości i tak kilka godzin trzeba było się dyndać. Apetyt dopominał się porcji ładunku, którego niestety nie było w torbach. Droga z Torunia do Sierpca była na pewno dwukrotnie dłuższa niż z Bydgoszczy do Torunia i trzeba było te kilka godzin trząść się towarowym. Ale za to mieliśmy wspaniałe widoki w plenerze. Chociaż czas się dłużył, kiedy dojechalśmy na miejsce było jeszcze widno. Zdążyliśmy pożegnać się wcześniej i zanim zatrzymaliśmy się na stacji byłem gotowy do skoku na peron. Pożegnania było takie dziecinne – bez sentymentów: „Cześć chłopaki! Trzymajcie się!” Zupełnie jakbyśmy się codziennie spotykali i żegnali do następnego dnia. Zeskoczyłem na peron i pomachałem sobie jeszcze. Nie czekałem na odjazd pociągu i pomaszerowałem w kierunku budynku stacyjnego. Dziwne pożegnania spowodowane było brakiem doświadczenia życiowego i obycia, jakie cechuje człowieka dorosłego. Tak się wzajemnie zachowaliśmy – nie wzięliśmy od siebie adresów, żeby się kiedyś spotkać. Wielka szkoda. Nigdy więcej w swoim życiu nie zobaczyłem żadnego

z nich. Nigdy nie wróci się to co zostało stracone raz na zawsze. Ale byliśmy wtedy smarkaczami i po tych wszystkich przeżyciach byliśmy otumanieni jedyną żądzą – wrócić do domu. Nie byliśmy w stanie zdać sobie sprawy z wielu ważnych w życiu momentów, które gdy nie zostaną właściwie potraktowane wtedy kiedy potrzeba, to nigdy już nie będzie okazji do poprawki.

Na stacji była cisza i spokój, jakiego w mieście nie odczuwa się prawie nigdy. Był pierwszy dzień świąt. Żadnego ruchu – pustka. Wtedy stało się coś, czego później nie mogłem sobie wytłumaczyć. Nie wiem, czy to z nadmiaru wrażeń czy z tego przeżycia, że w ciągu jednej doby przejechałem taki szmat kraju, po pytaniu na stacji o drogę do Żuromina skończyła się moja świadomość. Wszystko zakryła ciemna noc. Straciłem pamięć do tego stopnia, że nie wiem co robiłem i gdzie nocowałem, dokąd się wtedy udałem. Nic z tego dzisiaj nie pamiętam.

Moja świadomość życia obudziła się rano, kiedy w najlepsze wędrowałem sobie szosą do Żuromina opuszczając miasto Sierpc. Wtedy to nawet nie zastanawiałem się, a może nawet nie widziałem, że mam przerwę życiową. Znalazłem się poza miastem na drodze do Żuromina już w pełnym marszu. Był ranek i zupełna niemal cisza, nikogo na drodze, a ja sobie wędrowałem. Szedłem dość energicznie przez jakiś czas, aż dopędziła mnie jakaś furmanka zaprzęzona w dwa koniki. Wczesną wiosną to zazwyczaj koniki są wypoczęte i gdy się je zaprzęgnie do wozu to bardzo chętnie brykają i biegają kłusem. Chłopi nie mają chęci zabierać nieznajomych po drodze. Zwykle gdy idący podnosi rękę pokazując gestem, że chce się zabrać, to bardzo często chłop nie odzywa się ani nie robi żadnego gestu i turla się dalej. Ale gdy znający chłopską mentalność wskoczy z tyłu na furkę, to chłop go nie spędzi i mogą sobie później nawet ucinać gadkę. Toteż gdy nadjechała ta furmanka odwróciłem się i pokazałem gestem, że chciałbym się zabrać i zanim chłop zareagował to już byłem na wozie. W trakcie jazdy zaczęliśmy rozmowę. Chłop cały czas jechał kłusem. Koniki leciały z przyjemnością, a ja dawno nie siedziałem na wozie i to sprawiło mi dużą przyjemność. Gospodarze ci byli małżeństwem i jechali kawałek do swojej rodziny z okazji świąt. Byli przyzwoicie ubrani, a ja nie przymierzając wyglądałem jak żebrak. Gdy się dowiedzieli, że ja powracam tak bezpośrednio spod Niemców do domu i nie wiozę ze sobą nic zdobycznego, żadnych ciuchów ani nic wartościowego, zdziwili się bardzo oboje. Jak to – być tam i nic sobie nie przywieźć? Tyle naciерpieć się, napracować i nic z tego nie mieć? „Przecież od nas to specjalnie tam chodzą całymi chmarami na ciuchy i przynoszą, a nawet jeżdżą wozami i wracają obładowani, chociaż nieraz ich ruskie oskubią. A ty nic sobie nie niesiesz? Chłopie, gdzie masz rozum?!” Zrobiło mi się głupio, a także i przykro. Logicznie rozumując zarówno z punktu widzenia praktycznego, jak i zgodnie z poczuciem sprawiedliwości, miałbym pełne prawo tak postąpić i gdybym był bardziej praktyczny to na pewno tak bym zrobił jak ci ludzie mówili. Ale ja nie byłem na tyle rozgarnięty i praktyczny, aby pomyśleć o sobie więcej jak o przeżyciu – tak samo i moi koledzy. Dopiero kiedy zetknęliśmy się z takimi, którzy byli bardziej cwani od nas, to jakieś pomysły się zaczęły rodzić, ale wtedy było w zasadzie za późno, nie było czasu i chciało się jak najprędzej do domu.

Tutaj ludzie żyli inaczej i praktyczniej. Organizowali sobie wypadki na Zachód po ciuchy, co było na porządku dziennym. Zwozili i znosili różne sprzęty, wyposażenie mieszkań, narzędzia, maszyny rolnicze itp. Ogałali opuszczone gospodarstwa i mieszkania, wszystko co się mogło spodobać i przydać ładowano na wozy. Nawet wojacy radzieccy przewozili im to samochodami za wódkę. Interes kwitł mimo, że nowa władza Polska próbowała przeciwstawić się temu i zwalczała szabrownictwo wydając stosowne zakazy.

Wdzięczny byłem ludziom za to, że mogłem z nimi podjechać kawał drogi, bo aż do Bieżunia. Wprawdzie wytrzęśliśmy się jadąc tym żeleźniakiem po tłuczniowej, nierównej wtedy szosie, ale miałem w sumie ponad dwadzieścia kilometrów za sobą. Do domu pozostało mi jeszcze ponad dwaście kilometrów, kiedy pożegnałem się i wysiadłem.

Przerwa wędrowki pieszej i odpoczynek w czasie jazdy na furmance spowodowały czasowe zastanie się nóg, ale w krótkim czasie rozchodziłem je i mogłem iść względnie dobrze. Niedaleki finał, ten już ostateczny, mobilizował. Po przejściu sporego kawałka musiałem odbić w prawo i drogami gruntowymi przez miejscowość Chamsk skierowałem się na skróty w stronę naszego Baškowa. To była decyzja pokierowana intuicją. Nie wiedziałem, czy moja rodzina przeżyła skutki represji, jakie spotkały nas w okresie okupacji. Mogło przecież nie być nikogo – ani rodziny, ani pozostawionego bez opieki naszego domu w miejscu gdzie osiedliliśmy się na czas wojny.

Około południa, wlokąc się przez wieś Chamsk chodniczkim przy płocie oddzielającym gospodarstwa od drogi, natknąłem się na kobiety rozmawiające przy furtce. Zatrzymałem się i poprosiłem o coś do napicia. Miałem sucho w gardle, a ponadto byłem także głodny, bo resztki pożywienia skończyły się wczoraj. Gdy się dowiedziały, że wracam „ze świata”, zaprosiły mnie do mieszkania i poczęstowały śniadaniem świątecznym. To śniadanie poskutkowało tak negatywnie na moje zdrowie, że nie mogłem się wylizać z kłopotów przez kilka następnych miesięcy. Gdy przysiadłem w mieszkaniu i spojrzałem po ścianach, zobaczyłem znajome, swojskie otoczenie, jakbym był u siebie w domu. Takie otoczenie, którego pozbawiony byłem przez wiele ostatnich miesięcy. Kuchnia murowana na cztery fajerki, łóżka w pomieszczeniu kuchennym, na ścianach jakby znajome obrazy święte, podłoga z desek

wyszorowanych na białe lśniła świętecznie. A ja przedstawiałem obraz nędzy i rozpacz. Nogi pokaleczone i obolałe, obuwie zdobyczne nie pasujące zbyt do nóg, na sobie zdobyczny mundur ukraińskiego żołdaka – taki intensywnie zielony. Do tego niewielki tobolek z jakimiś drobnostkami, z bielizną i nieodłącznym kocem, a także niebieska kanka i łyżka, których się nie pozbyłem.

Kobiety widząc ten mój strój nietypowy dla miejscowego chłopaka zaczęły się wypytywać o różne sprawy i nawiązała się rozmowa. Dowiedziałem się, że ruscy byli tu już trzy i pół miesiąca, a ja tydzień temu obserwowałem pożar obozu i drżałem o życie. Powiedziałem im trochę, jak to ze mną było i co przeżyłem w ciągu ostatnich tygodni. W tym czasie stanęło przede mną śniadanie podane z serca przez gospodynię. Brak rozsądku i wiara w zdrowie spowodowały, że zabrałem się do niego całą gębą po dobowym poście. Wszystko może skończyłoby się dobrze, gdyby nie obfite żarcie, kawa z mlekiem i mleko, które smakowało wybornie. Gospodyni nie pożałowała ani mięsiwa, ani ciasta, ani mleka, a na skutki nie czekałem długo. Przejedzenie spowodowało u mnie później długotrwałe problemy żołądkowe.

Nie bawiłem długo u gościnnej gospodyni, ale zdążyłem opowiedzieć trochę o tych wojennych sprawach – co się widziało i przeżyło. Potem podziękowałem serdecznie i pożegnawszy się wyruszyłem, żeby pokonać ten ostatni – kilkukilometrowy odcinek drogi. A te kilometry były dla bardzo ciężkie. Wlokłem się jak zbity pies. Nie pamiętam, czy dochodziłem na miejsce idąc przez Kosewo czy przez Sadowo. Ale zapamiętałem, że po przejściu kilku kilometrów po tym obfitym śniadaniu zaczęło się coś gorszego od głodu – musiałem co jakiś czas spuszczać spodnie i siadać w rowie. Zaczęła się ta męcząca mnie przez dłuższy czas choroba żołądka.

Z daleka zobaczyłem świecący się dach naszego domu – a więc jest dom, nikt go nie spalił, nie zniszczył. Jedna wątpliwość wyjaśniona, ale co z następnymi? Powoli zbliżam się do naszego gospodarstwa, którego zabudowania widziałem ostatni raz w sierpniu ubiegłego roku, kiedy z Wiekim Kościelskim, kosilem żyto. Kiedy dotarłem do domu zastałem jednego z braci. Nastąpiło powitanie. Jak się odbyło – nie pamiętam. W domu wtedy poza bratem nie było nikogo. Ale dowiedziałem się, że przeżyli wszyscy i są na miejscu. Zeszliśmy się jednak i znów jesteśmy razem. Brat popędził z wiadomością o moim powrocie do dalszych sąsiadów, gdzie akurat rodzice przebywali z wizytą.

Wracając do domu nie wiedziałem czy i kogo zastanę. Kiedy wyjeżdżałem z Zielonej to młodszy bracia byli u gospodarzy – Stefani i Stefana Rochnów. Matka przebywała w więzieniu niemieckim w Fordonie. Ojciec po odsiadce w więzieniu w Sierpcu był deportowany do Warszawy. Starsze siostry przebywały w Warszawie. Było Powstanie, o czym się trochę wiedziało, ale niewiele. Nie wiedziałem co mogło się dziać z nimi w tym czasie, kiedy ja się tułałem przetrzymywany z miejsca na miejsce. Zasadnicze pytania, to czy przeżyli czy nie przeżyli. Zastanę ten nasz dom na miejscu czy nie zastanę? Okazało się, że przeżyli i że zastałem wszystko zebrane razem. Ja byłem ostatni z naszych rozsypanych członków rodziny, którzy zbierali się w Zielonej, w miejscu, gdzie zaczął się nasz okres okupacji.

Nie jestem w stanie odtworzyć tego odczucia, tej ulgi i odprężenia, które wtedy przeżyłem. Dotarłem wreszcie szczęśliwie do celu. Było to nie do opisania szczęśliwe ukojenie, że jest się tu, dokąd się dążyło i ciągnęło tyle czasu i przez tak wiele przeszkód, wydarzeń nieszczęśliwych, głodu i poniewierki. Niema już wachmanów, SS-manów, nikt nie grozi codziennie śmiercią – zastrzeleniem czy powieszeniem, biciem. Będę mógł się najeść siadając przy stole, jeść łyżką i nie lizać miski po jedzeniu, że będę mógł poprosić o dokładkę jak będę miał apetyt na coś. Nie będę musiał stać w kolejce na dworze po zupę, nieraz niepodobną do zupy jadanej.

Wróciłem do swoich – do tych, z którymi przeżyłem kilkanaście lat. Los rozpędził nas w różne strony świata. Trzy lata nie było z nami ojca. Dwa lata nie było z nami matki, a przez ostatni okres, który opisałem, byłem rozłączony z młodszymi braćmi. Przez całą wojnę – z małym wyjątkiem – z siostrami. Do swojej sytuacji tak się człowiek przyzwyczaił, że każda inna wydawała się nienaturalną. A moja – mimo, że taka nieciekawa – zdawała się normalna. Gdy zatem znalazłem się w tym naszym drewnianym domu, w tej wiejskiej chałupie, której ściany straciły swoją świeżość i kolor sympatycznego drewna, poczułem się radosny i jednocześnie jakiś zwiędły. Równocześnie cieszący się i zrezygnowany – jakbym miał tego wszystkiego dosyć. Moja radość nie uzewnętrzniała się, nie była wylewna ani entuzjastyczna, lecz taka wewnętrzna.

Wkrótce zjawiała się reszta rodziny przywołana przez brata. Szczegółów nie pamiętam, ale zdaje mi się, że poza moją rodziną przybył ktoś obcy. Powitanie i lzy szczęścia. Jakaś radosna, płacząca czułość. Nie umiem tego nazwać ani opisać. Matka wielokrotnie oplakiwała mnie, sądząc że zginąłem, chociaż wciąż tliła się w niej nadzieja. Co jakiś czas wracał któryś z tych już całkiem „pogrzebanych”. Ciągłe iskierka nadziei nie gasła. Wprawdzie była to tylko nadzieja matki, bo inni przestali w to wierzyć, ale i ta z każdym dniem i tygodniem stawała się coraz słabsza. Było kilku takich jak ja, z tego samego poboru, którzy jeszcze nie powrócili. O każdym z nich tak samo mówiono, że nie wróci i rodziny ich oplakiwały, ale też czekały. Dokąd nie znajdzie się zwłok, to jest nadzieja. Bolek Perłowski, który w tej końcowej fazie we Wrzeszczu został zakwalifikowany jako nadający się jeszcze do pracy dla Niemców,

wrócił do domu jeszcze później ode mnie – po kilku tygodniach. Zapędzili ich aż na półwysep Hel, gdzie po kapitulacji niemieckiej został wyzwolony.

Mój powrót w drugi dzień Świąt Wielkanocnych był faktem, rodzina się zebrała i tworzyła zespół w całości. Był to zespół, który sześć lat wcześniej przepracował się tutaj z Warszawy w nadziei spokojniejszego przeczekania zawieruchy wojennej. Takie wtedy były przewidywania i nadzieje. Ile z nich i które się sprawdziły? W zasadzie żadne – z wyjątkiem tego, że to właśnie w tym miejscu zaczęliśmy i po wszystkich zawirowaniach znów tutaj razem jesteśmy. Jesteśmy o sześć lat starsi, bogatsi o doświadczenia zdobyte w tym czasie, pokrzywdzeni moralnie, fizycznie, psychicznie i ekonomicznie w bardzo dużym zakresie. W Święta Wielkanocne rodzina została skompletowana. Matka powróciła przed kilku tygodniami. Po kilku dniach aklimatyzacji wraz z młodszymi braćmi przenieśli się do naszej starej siedziby i zabrali do jej porządkowania. Zebrałi co się da z rozsypanych sprzętów i zaczęli gospodarowanie. Ojciec po powrocie z więzienia w Sierpcu do Warszawy jakoś się ostatecznie wylizał, przeżył Powstanie Warszawskie i też po uruchomieniu środków transportu powrócił do Zielonej. Siostry już planowo pozostały w Warszawie i założyły swoje rodziny. Dzieci wuja – brata matki, który zmarł jeszcze kiedy przebywałem w Talten, a po nim wkrótce i wujenka – przebywające u ludzi obcych w sąsiedniej wsi w Sadowie, zostały przyjęte przez rodziców.

W pierwszych dniach po moim powrocie mówiło się i pytało o wszystko, chciało się wszystko wiedzieć i wszystko opowiedzieć, jak przeżywaaliśmy, gdzie i co itd., itp. Powoli jednak spadało tempo pytań i następowała stabilizacja życia. Atmosfera radości została przytłumiona moją chorobą żołądka. Początkowo myślałem, że to jakaś dolegliwość przejściowa, która szybko minie. Poza tę dolegliwością, miałem mlekowstręt, a ponadto nie mogłem znieść nawet zapachu smażących się skwarków słoniny. Jednak tego co się stało nie dało się odwrócić. Nie pomogła złość na siebie. Były okresy, kiedy człowiek nie miał nic w gębie – dwa i więcej dni, bo nie było żadnego zaopatrzenia, żadnego pokarmu, nie mówiąc już o ciepłej strawie. A tu tak blisko domu ciasto i mleko złożyło mnie jak śledzia. Koniec z apetytem na cokolwiek. Wyglądałem na takiego, który koniecznie chce się rozstać z tym światem, ale się nie rozstałem. Przetrwiałem w tym czasie bez żadnych lekarstw i lekarza. Nie było warunków do leczenia.

Kolejnym moim problemem zdrowotnym były rany na nogach, które mimo systematycznego leczenia goić się i zablizniać nie chciały. Ostatnia jesień i zima, wszystkie przejścia, przeziębienia, bród i głód – doprowadziły do zezarzenia się ran. Infekcja i przeziębienie spowodowały, że w nieskończoność się jątrzyły. Wtedy też – mimo ciepłej pory roku i sprzyjających warunków higienicznych, sprawy te nie chciały się prostować. Stan, o którym piszę wynikał również z braku pomocy medycznej, nie z powodu lekceważenia, ale po prostu z braku środków finansowych. Było to powszechne na wsi. Takie choroby leczono sposobami domowymi. Usługi lekarskie były zbyt drogie i lekarz daleko. Po pomoc medyczną udawano się wtedy, kiedy były sprawy „gardłowe”. Wtedy sprzedawano nawet ostatnią krowę. Moje schorzenia w końcu zwalczyłem. Rany zagoiły się i zablizniły. Intensywna kuracja trwała jednak aż do 1946 roku.

Kończąc swoje wspomnienia, rozważania i refleksje zastanawiam się, jakimi drogami chodzi sprawiedliwość i prawo? Czy naprawdę te synonimy muszą rozmijać się z moralnością i zdrowym rozsądkiem? Czy się ze sobą spotykają i kto powinien decydować o racjach, kiedy nie są ze sobą zgodne. Za dużo mówią o smaku „prawa” ci, którzy go sami nie mają.